

PRZE KROJ

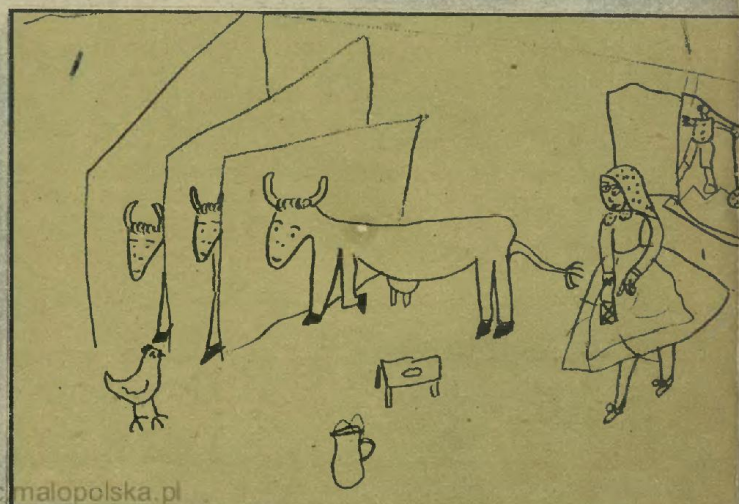


NR 454-5 • CENA ZŁ 1.60
NUMER ŚWIĄTECZNY — GRUDZIEŃ 1953

DZIŚ 24 STRONY:

ANKIETA (40 nagród) •
KONKURS (1-sza nagro-
da: motocykl) • Po-
czątek nowej powieści
astronautycznej LE-
MA • 17 rysunków
o lekarzach UNIE-
CHOWSKIEGO • Ar-
tykuł IWASZKIEWICZA •
Reportaż KOŹNIEW-
SKIEGO • Wodewil
GAŁCZYŃSKIEGO •
Rozmowa z TUWI-
MEM • „Annapurna”
ST. WILKOŚZA •
GRODZIŃSKA •
WIECH • Wszystkie
nasze stałe działy.

Na okładce: 5 rysunków dzieci, spośród na-
grodzonych i wyróżnionych w naszym kon-
kursie. Rozstrzygnięcie konkursu na str. 21



K

ONIEC ROKU staje się zawsze okazją dla spojrzenia w przeszłość. To nie tylko w gazetach i czasopiśmie spotkać można wtedy bilansujące rzuty oka wstecz, na czas ubiegły. Któż z nas nie robi wtedy tego samego wobec swoich spraw własnych, sobie najbliższych? Ale jest też zawsze koniec roku okazją do rzutu oka naprzód, w przyszłość, która nas czeka. Kto jej nie jest ciekawy, kto nie snuje w dniach świątecznego wypoczynku własnych, osobistych planów, zamiarów!

Wydaje się, że ten rok żegnamy bardziej niż kiedykolwiek zdecydowanie zwróceniu wzrokiem właśnie ku przyszłości, że rysuje się nam ona wyraźniej i jaśniej niż kiedykolwiek. Idzie tu nie tylko o tę dalszą perspektywę, ale przede wszystkim o przyszłość bliską, konkretną, mierzoną miesiącami, rokiem, dwoma. I to powszechne spojrzenie w przyszłość jest naszym wielkim wspólnym osiągnięciem w roku, który właśnie dobiega końca.

Każdy wie, że ostatnie miesiące przyniosły wiele nowego twórczego ruchu w każdej niemal dziedzinie życia. Zagadnienia gospodarcze, problemy nauki, kultury i sztuki są dyskutowane bardziej żywo, odważniej niż kiedykolwiek dotąd. Jeśli sprawy podręczników szkolnych i — jakości konfekcji, wychowania młodzieży — i produkcji, stają się przedmiotem gorętszej niż kiedykolwiek dyskusji i krytyki śmiałej a odpowiedzialnej, wskazującej realne drogi poprawy — to czyż nie jest to oznaka śmielszego zwrotu ku przyszłości, ku jej czynnemu kształtowaniu? Widzimy ją dziś wyraźniej, chcemy na nią bardziej czynnie wpływać, mocniej wierzymy, że można to osiągnąć. I dlatego właśnie pragniemy rozszerzenia zakresu krytyki na sprawy, którym dotąd za mało poświęciliśmy uwagi — ale nie krytyki bezpłodnej, malkontenckiej, lecz pogłębianej, twórczej. Tak więc na wszystkich polach zwiększa się nasza aktywność społeczna.

Cóż dopiero mówić o ogólnopartyjnej dyskusji przed II Zjazdem PZPR! Przecież same tezy przedjazdowe i cały dorobek IX Plenum — to właśnie najdobitniejszy wyraz zwrotu twarzą ku bliskim, konkretnym zadaniom przyszłości, którą chcemy ukształtować tak, by lepiej nam się żyło, by trudności skuteczniej pokonywać. Oczywiście — Partia zawsze ku temu klasę robotniczą i naród wiodła. Ale dziś mocniejsza się stała w całym społeczeństwie świadomość tego, lepiej pojęliśmy prawdę, że od nas samych zależy nasza przyszłość.

Dlaczego właśnie teraz, w ciągu ubiegłych miesięcy z taką wzmoczoną inicjatywą wzięliśmy się do kształtowania najbliższej przyszłości tak, by ona przyniosła nam wydatniejszą, szybszą poprawę? Dlaczego właśnie teraz ten rozmach twórczej krytyki i samokrytyki? Wiadomo: stanęliśmy już mocno na nogach, sił zebraliśmy nie mało, wydała owoce praca lat ubiegłych. — Oczywiście nie tylko nasza praca: wzrósł potężnie w siły cały obóz pokoju, a przede wszystkim Związek Radziecki. A kiedy ma się oparcie w takiej potęgze, kiedy wie się, że wzrosły własne siły — wtedy świadomość się zmienia, przychodzi czas na sprawy, które dotychczas niedość jasno się widziało lub na zajęcie się którymi brakło dość środków.

Dojrzelśmy przez te miesiące, które upłynęły od czasu, gdy przed rokiem, korzystając z dni świątecznych, kierowaliśmy wzrok za siebie — i przed siebie. Więc patrząc dziś przed siebie — patrzymy z większą niż kiedykolwiek ufnością i optymizmem. Nie jakimś łatwutkim, płynącym z zamykania oczu na trudności i z nieliczenia się z realnymi możliwościami. Ale z tym optymizmem, który wypływa z trzeźwej, gruntownej wiedzy co robić trzeba, by podolać naszym zadaniom i osiągnąć nasze wielkie cele.



Najserdeczniejsze życzenia
ŚWIĄTECZNE i NOWOROCZNE
przesyła wszystkim Czytelnikom
„PRZEKRÓJ”.

DROGA W GÓRĘ



Pałac Kultury i Nauki im. Stalina — symbol braterskiej przyjaźni

ZŁUDZENIA wzrokowe dają efekty zupełnie nieoczekiwane. Doskonale mi znany odcinek Marszałkowskiej między Jerozolimskimi i Sienkiewicza, zawsze wydawał się tak krótki, tak prędko go przechodziłem — a oto z wysokości stu sześćdziesięciu paru metrów jest on nieprawdopodobnie długi. Zastanawiam się, czy widziany stąd maszyn niemałego budynku przy ulicy Wspólnej jest znanym mi dobrze, stosunkowo niewielkim domem? Jakoś tak ogromnie wyglądają załawy Wisły. Długo błądzę wzrokiem po dachach, zbyt blisko na ogół sięgając, nim odnajduję skupisko Starówki. Ani rusz nie mogę się zorientować w pogmatwanym rymsunku Mokotowa czy Woli. Wydużyły mi się — na mocy obcych mi praw optycznych — wszystkie odległości i ulice. Tylko wysokości jakoś skarlały i „drapacz” z placu Wareckiego jest zgola niepozorny. Warszawa ze szczytu Pałacu Kultury i Nauki jest zupełnie inna!

Aby się tutaj dostać musiałem pokonać niemałą drogę. Dopiero w grudniu uruchomiono pierwsze windy, od razu do 26 piętra. W końcu listopada z piwnicy na samą górę wejść musiałem o własnych siłach. Aż do 33 piętra po bardzo wygodnych, żelaznych — prowizorycznych — schodach, nie gorszych niż w każdej kamienicy, tyle że ciągnących się tak wysoko. Potem, do 37 piętra — ostatniego piętra użytkowościowej części Pałacu — po bardzo niewygodnych drewnianych drabinach; na tej wysokości kończyły się wtedy stropy; była tylko konstrukcja szkieletu. Ostatnich 20 metrów do nasady iglicy wdrapałem się na zewnętrznej już stronie kwadratowej baszty, najwyższej części Pałacu, po żelaznej drabinie ogromnego dźwigu UBK. Przez chwilę znalazłem się na wysokości samego szczytu: niemal 190 metrów. Nadmąną była już tylko iglica, do połowy jeszcze otoczona rusztowaniem, na którym pracowali robotnicy, wykładający jej powierzchnię żółto-złotymi płytkami z specjalnego szkła. Wewnątrz iglicy można wejść po drabinie jeszcze wyżej, aż do szczytowej kuli. Ale tam, na wysokości 225 metrów ma wstęp jedynie obsługa techniczna.

Na szczycie Pałacu zabrakło mi po prostu odwagi. Identyczna wysokość pokonywana w górach, mniej męczy niż na schodach i drabinach. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, nie odważyłem się uczynić „trochę akrobatycznego” skoku z UBK na konstrukcję dachu.

Z tym większym podziwem ocenilem swobodę wierchołazów układających szkielet spadzistego daszku i przygotowujących u spodu iglicy montaż ogromnej pięcio i półmetrowej kuli, którą już w ciwarkach widziałem przed godziną na dole. Nie zrobiłem skoku i obejrzawszy Warszawę z góry zszedłem dźwigiem na galerijkę. Tutaj dojeżdżać będą zwiedzający Pałac turyści. Widok, który dla mnie dziś jest atrakcją, za półtora roku będzie zwyczajny i dostępny każdemu. Każdy skonstatuje owe złudzenia optyczne — nie każdy jednak wtedy, pędząc do góry szybkozbiorną windą, odczuje kolosalną wielkość tej budowli...

Pałac jest ogromnie wysoki. Dość powiedzieć, że wysokością przewyższa go w Europie jedynie Uniwersytet Moskiewski (nie licząc wieży Eiffla, oraz masztów niektórych radiostacji, przede wszystkim naszej rażyńskiej). Znajduje się on w pierwszej dziesiątce (siódmy bodajże? — brak mi najnowszych statystyk) najwyższych budynków świata. A przecież, gdy patrzmy nań z Marszałkowskiej nie przyniata swą wielkością; nie docenia my jego wysokości, gdyż jest lekki i smukły. Gdy podejdziemy pod sam Pałac — musimy zadrzeć głowę do góry i w ogóle tracimy jakąkolwiek możliwość porównywania. Naprawdę wysoki i w miarę oddalania się coraz wyższy jest Pałac wtedy, gdy patrzmy nań z daleka, z placu Konstytucji, z Puławskiej. W pogodny dzień widać go z odległości 40 i 50 kilometrów, teoretycznie widzialny jest ze 108 km. Wysokość i wielkość Pałacu ocenia się dopiero przeszedłszy się po nim na własnych nogach — ale i to niedokładnie, gdyż w żadnym jego punkcie nie obejmujemy wzrokiem całości.

Gdy razem z moim przewodnikiem chodziliśmy po osiemnastym piętrze Pałacu aż wykrzyknąłem pełen dziwnej emocji: jakie to małe! — W istocie pusta hala, pozbawiona ścian działowych, zagęszczona tylko listnym lasem rur i kabli najrozmaitszego rodzaju przewodów elektrycznych, wodociagowych, klimatyzacyjnych, ciepłych (już czynnych: na najwyższe piętra Pałacu już dochodzi woda, grzeją tam kaloryfery, świeci elektryczność!) czyni wrażenie małe. Wzrok nie może się o nic oprzeć. Jest to złudzenie zawsze będące udziałem laika w pustej lub prawie pustej hali. A jednak ta właśnie część Pałacu ma 41 na 41 metrów! Pomnożyć to przez ilość pięter, powiększyć o wielkie gmachy czterech bocznych części i o potężną salę kongresową — i oto otrzymujemy kubaturę wynoszącą 800.000 m³.

A łączna kubatura nowych gmachów MDM przed rokiem (to jest po ukończeniu centralnej części) wynosiła tylko 570.000 m³. Owe 800.000 m³ Pałacu równa się kubaturze... całego Bielska (ok. 30.000 mieszkańców) — jak obliczył w „Przeglądzie Budowlanym” inż. Tysza. Podał on też, że koszt budowy Pałacu równa się przedwojennemu państwowemu budżetowi Rumunii. Sapięti sat...

W środku naszej Stolicy stanął więc gmach ogromny. Człowiek ma bardzo szczęśliwe usposobienie: do dobrego przyzwyczajają się niemal błyskawicznie. 22 lipca 1952 roku wydawało mi się, że plac Konstytucji tak wyglądał zawsze... a przecież ledwo co go zbudowano. Sylwetą Pałacu w swej ostatecznej postaci góruje nad Warszawą dopiero od niecałych dwóch miesięcy, a już przyzwyczailiśmy się do niej. I teraz nie zdajemy sobie nawet dobrze sprawy, że 15 miesięcy temu — 15 lipca 1952 roku — dopiero rozpoczęto betonowanie fundamentów. Ze zaledwie rok temu z drewnianego pomostu oglądaliśmy montaż pierwszych czterech czy pięciu pięter stalowej konstrukcji.

Pałac stanął nieprawdopodobnie szybko. Ktoś to objaśnia: to zasługa prefabrykowanych płyt stropowych, beton nie potrzebuje schnąć na budowie...

Ktoś inny tłumaczy: przyczyną szybkości jest niemal stu procentowa mechanizacja wszystkich robót. Tu nie ma pracy fizycznej.

Ktoś trzeci mówi: to jest zagadnienie przemysłu i organizacji budowy. Segmenty konstrukcji przywożone z hut radzieckich mają wkręcone na swoje miejsce śruby już w fabryce. Na budowie wierzchołaz nie szuka śrub — od razu skręca. Całą organizację transportu przemysłano tak, by siedemdziesiąt wagonów, jakie w pierwszych miesiącach pracy codziennie przychodziło z ZSRR do Warszawy, codziennie mogło iść od razu w górę, w powietrze, bez chwili przestoju. Organizacja placu... oto tajemnica budowy!

Ktoś czwarty... — Ten zaczyna już operować terminami i sprawami tak bardzo precyzyjnymi, że poza gronem fachowców niezrozumiałymi. Cała specjalna Stacja Naukowo-Badawcza PAN znajdująca się stale na budowie PKiN gromadzi możliwe najwyszczególniejszą dokumentację, która pozwoli z budowy Pałacu uczynić prawdziwą szkołę dla naszego budownictwa. Szkoła ta jest zresztą obustronna: Polacy, którzy przejęli już w tej chwili prace w czterech skrzydłach Pałacu są specjalistami w wykonywaniu wewnątrz i w pracach detalicznych, Rosjanie są mistrzami w wielkich konstrukcjach oraz w organizacji budowy.

Budowa Pałacu im. Józefa Stalina jest ogromną pomocą w rozwoju naszego wielkiego budownictwa. Po raz pierwszy w Polsce stworzono bazę produkcyjną, odległą o 10 km od placu budowy, dzięki czemu plac ten może być utrzymany w pewnym systematycznym porządku. Baza w Jelonkach, którą odziedziczyliśmy po PKiN, jest w pełni zmechanizowana, kompleksową wytwórnią, produkującą gotowy beton i zaprawę, wyroby prefabrykowane, zbrojenia, stolarszczyznę — wszystko. Pokazano polskiemu budowniczemu jak najwygodniej transportować beton w wywrotkach, cegły w kontenerach, co zmniejsza ich niszczenie i zwalnia ludzi od fizycznej pracy. Pokazano nam praktycznie do jakiego stopnia trzeba i można posługiwać się prefabrykatami. Wzorując się na maszynach stosowanych na tej budowie nasz przemysł już rozpoczął produkcję dużej ilości rozmaitych nowych mechanizmów (maszyn do prostowania i cięcia stali zbrojenio- wej, maszyn do rozładowywania wago-

nów, specjalnych żurawi budowlanych itp). Dzięki zamówieniom PKiN rozpoczęto w Polsce produkcję cegły siłówki oraz seryjną produkcję małych prefabrykowanych płyt stropowych.

Dzięki budowie PKiN-u już daje się zauważyć u nas rozwój mechanizacji prac budowlanych, o czym mówiono już u nas od dawna i przy wielu okazjach — praktycznie jednak przystępowano do tego dość powoli. Bezpośrednio obserwowany przykład Pałacu ma tutaj ogromne znaczenie. Dwa razy w tygodniu wycieczki fachowców zwiedzają budowlę. Polscy inżynierowie, technicy i robotnicy, którzy przejdą szkołę Pałacu, będą chcieli i na swoich budowlach stosować te same metody, będą chcieli mieć taki sam wzorcowy porządek, tak samo dokładnie zorganizowany transport likwidujący przestoje, taki sam styl pracy, który pomnaża jej wydajność. Rzeczą, która najbardziej zwiedzającego zaskakuje na budowie Pałacu jest cisza i spokój oraz stosunkowo niewielka ilość pracujących ludzi. Dobra organizacja oraz mechanizacja pozwalają na tak racjonalne gospodarowanie ludźmi.

Bałaganiarstwo w Rosji było przed laty równie przysłowiowym tematem prześmiewań na „Zachodzie” jak owe pogardliwe „polnische Wirtschaft”. A oto raz po raz ludzie radziecy zadziwiają świat cały swymi kolosalnymi osiągnięciami, wśród których są i wieżowce. Wieżowce nie są wynalazkiem radzieckim, pominiawszy udoskonalenia w ich konstrukcji i w organizacji pracy. Ale są one widomym egzaminem sprawności przemysłowej i gospodarczej, gdyż wymagają doskonałej organizacji współpracy z przemysłem, doskonałej produkcji prefabrykatów, jednym słowem wysokiego poziomu gospodarki narodowej. W naszych warunkach budowa Pałacu im. Stalina jest bezpośrednim i naocznym świadectwem rozwoju przemysłowego Związku Radzieckiego. Nie byłoby możliwe zupełne wyeliminowanie ciężkiej pracy rąk ludzkich — gdyby radziecki przemysł maszynowy nie został rozbudowany w tak ogromnym stopniu. Nie byłoby żadnej możliwości stworzenia potężnego przemysłu maszyn budowlanych, gdyby w czasie pierwszych pięciu lat nie założono odpowiednio dużej bazy przemysłu ciężkiego. A to z kolei nie byłoby możliwe, gdyby jeszcze w 1920 roku, w Rosji głodnej i zdewastowanej wojną, nie stworzono planu elektryfikacji kraju — słynnego GOELRO.

Dziś w Związku Radzieckim mówi się wiele o lodówkach, telewizorach, różnorodnym elektrycznym sprzęcie obsługi domowej. Przed dwudziestu laty ludzie chodzili tam w złe uszytych garniturach, mieszkania były źle ogrzewane, kłopoty życia codziennego były bardzo poważne. Wtedy budowano przede wszystkim elektrownie, huty, kopalnie, przemysł nałęczyszy. Była to droga trudna i pełna wyrzeczeń. Wyrzeczeń, które jednak opłaciły się prędzej niż przewidywali najśmielsi ekonomiści świata kapitalistycznego. Okazało się, że ludzie radzieccy pracowali nie tylko na wygodę swych dzieci i wnuków, ale i na swoją własną. Jeszcze i tam są trudności — ale inna jest już skala tych trudności. Słowo „trudność” wymawiało się tak samo w Rosji w roku 1920, 1930 i 1953 — ale to są różne słowa. Cechą charakterystyczną ustroju radzieckiego jest szybkość z jakim to słowo zmienia swoją treść.

Pałac Kultury i Nauki jest bardzo cennym darem. Dar taki może mieć miejsce jedynie w warunkach socjalistycznych. Jego wartość obliczana w rublach czy złotych przekracza sam koszt budowy: precyzyjne dźwigi, wszystkie maszyny, transport cały, urządzenia prefabrykacyjne, pozostają już na zawsze w Polsce — również darowane.



Jekaterina Dymitrewna Kuwiczko, najwyżej pracująca w Warszawie kobieta, układa na połowie wysokości iglicy (210 m) szklane płyty

Ale jego wartość faktyczna jest wyższa niż wartość maszyn, cegieł, stali, betonu, instalacji, szyb i ludzkiej pracy. Nie da się w złotych wymierzyć wpływu, jaki ta budowa będzie miała na rozwój naszego przemysłu prefabrykacyjnego, maszynowego i na organizację naszych budowli. Nie da się w złotych obliczyć korzyści płynących z użytkowania tego w swym rodzaju jedynego na świecie kompleksu gmachów, który zawiera wielką instytucję naukową, czołową instytucję popularyzatorską, kina, teatry, basen, sale gimnastyczne, kawiarnie, muzeum... Warszawiacy po raz pierwszy odkryli Pałac, gdy oglądali jego fundamenty, po raz drugi odkrywają go teraz widząc sylwetkę w całej jej krasie. Po raz trzeci odkrywają ten Pałac, gdy staną się jego codziennymi użytkownikami. Po raz czwarty wreszcie odkrywają go wtedy, gdy cały Plac Stalina otrzyma nową obudowę, gdy wpływ sylwetki Pałacu na architekturę Warszawy stanie się widoczny i oczywisty.

Najwyższą jednak wartością Pałacu im. Stalina są naoczne perspektywy naszego własnego rozwoju, jakie on przed nami roztacza. Oczywiście rozumiemy pars pro toto... W tym wypadku tą „częścią”

jest wyeliminowanie niemal zupełnie ciężkiej pracy fizycznej stamtąd, gdzie praca ta zdawała się królować niepodzielnie: z budowy domów. Ta stopniowa eliminacja odbywa się dziś równocześnie na szerokim froncie całego przemysłu i całej gospodarki narodowej. A to już jest zmiana — na lepsze — całego stylu naszego życia. To już jest jego wyższy poziom. Budowa Pałacu dokumentuje nam możliwość osiągnięcia tego w czasie względnie krótkim, pod warunkiem honorowania zasad planowego, proporcjonalnego rozwoju własnej gospodarki narodowej.

Dlatego też budowa Pałacu jest nie tylko nauką dla naszych inżynierów, ale też nauką dla każdego z nas, jest dowodem, że nasz plan gospodarczy i nasz rozwój przemysłowy odbywa się prawidłowo. Nasza droga w górę jest właściwa.

Takie nieskoordynowane początkowo, później coraz lepiej precyzujące się myśli, przychodzą do głowy, gdy wspinam się po schodach czterdziestopiętrowego gmachu i na każdym z tych pięter oglądam ludzi postępujących się maszynami, a więc ludzi, których życie jest lepsze. Mam pewność że nasze życie też będzie już niebawem lepsze.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI



O LEKARZACH

RYUNKI ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

TEKST OPRACOWANY PRZY WSPÓŁPRACY ZAKŁADU HISTORII MEDYCyny AKADEMII MEDYCZNEJ W KRAKOWIE

MEDYCYNĄ rozwijała się powoli, od starożytnych Chin, Indii, Mezopotamii i Egiptu, aż do współczesnych klinik, lśniącego niklem i szkłem. Spośród niezliczonej rzeszy wybitnych medyków wybraliśmy szesnastu. Wdzięcznie zapisali się oni w naszej pamięci. Nie trzeba jednak zapominać, że wspaniały gmach dzisiejszej medycyny powstał z tysięcy cegiełek, które wnieśli także ludzie, dziś nieraz zapomniani. Wiele też zawdzięcza medycyna wybitnym fizykom, biologom, chemikom, a nawet filozofom. Dość przypomnieć zasługi Piotra i Marii Curie, którzy przez odkrycie radu przyczynili się do rozwoju leczenia raka, Wilhelma Roentgena, przez którego odkryte promienie umożliwiły dokonywanie prześwietleń, Pawłowa, który swymi teoriami fizjologicznymi otworzył nowe horyzonty medycynie. W dawnych wiekach, gdy nauka była mniej wyspecjalizowana, wielu wybitnych myślicieli trudniło się medycyną: lekarzem był i Kopernik, i Galileusz, i Rabelais. Największy filozof grecki, Arystoteles, pozostawił wiele medycznych dzieł. My jednak wybraliśmy szesnastu lekarzy - praktyków, albo naukowców, którzy odkrycia swe natychmiast stosowali w praktyce klinicznej. Dlatego Czytelnik nie znajdzie między nimi angielskiego lekarza i fizjologa, Harvey'a, który w XVII wieku odkrył zasady krążenia krwi, a znajdzie Niderlandczyka, Boorhave'a, do którego zjeżdżała się niegdyś na porady cała Europa. Nie znajdzie fizjologa Pawłowa, ale znajdzie chirurga — Filatowa.

Szesnastu lekarzy z różnych wieków, jakich przedstawiamy dziś Czytelnikom, ożywiało wspólne pragnienie niesienia pomocy człowiekowi. Opierając się na obserwacji i eksperymencie, wojowali z przesądem i ciemnotą. Wszyscy jesteśmy dłużnikami ich bohaterskiej nieraz walki o postęp i dobro człowieka.



1 NA PIĘKNEJ wyspie greckiej Kos, w parku, otaczającym świątynię boga zdrowia, Asklepiosa, przyjmował chorych „ojciec medycyny”, wielki Hipokrates (około 460—377 p. n. e.). Znał już setki chorób, które niezwykle jasno i trafnie opisał. Leczył ostrożnie, ale umiał już stosować kilkaset leków. Był zadziwiająco biegłym chirurgiem. Genialnie przeczuł przyszłe drogi medycyny. Pierwszy sformułował zasady etyki lekarskiej i postępowania leczniczego. Choć sławny na całą Grecję, znał niedostatki swych umiejętności. Zwykł często mawiać: „Sztuka długa, a życie krótkie”.



2 760 LEKÓW znał już Avicenna (980—1037), który był równie wybitnym lekarzem, jak filozofem, fizykiem i pisarzem. Jego dzieło „Kanon” stało się księgą obowiązującą w medycynie na parę stuleci. Jednak średniowiecze nie umiało rozwinąć zgromadzonej w nim wiedzy lekarskiej Greków i Arabów. Wiedza medyczna, wyłącznie książkowa i rutyniarska, łączyła się często z magią, alchemią i astrologią. Anatomii uczono wyłącznie z podręcznika rzymskiego lekarza Galena, który żył w II wieku i którego błąd sprostował dopiero w XVI wieku Holender Wesaliusz.



3 NIE Z KSIĄŻEK trzeba się uczyć medycyny, lecz z życia! — wołał Philippus Aureolus Theophrastus Bombastus Paracelsus von Hohenheim (1493—1541). Zawsze w wojnie ze scholastyczną medycyną (wykładał nie po łacinie, ale po niemiecku), ubrany w chłopską kamizelkę (a nie w czerwony lekarski płaszcz) przemierzał Paracelsus kraje Europy. Największą jego zasługą jest wprowadzenie prostych, silnych leków na miejsce bezsensownych recept średniowiecznych. Był też Paracelsus lekarzem-społecznikiem: pierwszy spostrzegł istnienie chorób zawodowych.



4 PRZEDNI z Waści medyk! — dziękowali królom Stefan Batory i Zygmunt III swemu lekarzowi i sekretarzowi, Wojciechowi Oczko, gdy ten ratował ich w ciężkiej niemocy. Oczko (1537—1599) syn Stanisława, kołodzieja warszawskiego, zawdzięcza godności, jakich dostąpił, tylko własnemu talentowi, cierpliwym studiom. Pierwszy pisał dzieła medyczne w ojczystym języku. Zastanawiał się nad kłwą, którą zaczynała wówczas szerzyć wielkie spustoszenie, badał lecznicze własności wód mineralnych, znane od dawna, ale bałamutnie dotychczas wykorzystywane.

Maria Curie-Skłodowska i mąż jej Piotr Curie nie byli lekarzami, lecz fizykami i chemikami. Odkryli m. in. dwa pierwiastki promieniotwórcze: polon i rad. Ten ostatni oddaje medycynie nieocenione usługi, niszcząc swym promieniotwórczym działaniem nowotwory. Rysunek przedstawia małżonków Curie w laboratorium.





5 GABINET Ambrożego Paré (1517–1590) przeraziłby dzisiejszego pacjenta prymitywnością instrumentów chirurgicznych. A jednak Paré, skromny praktyk, który się swej sztuki uczył nie na paryskiej Sorbonie, ale u cyrulików i balwierzy, był ojcem nowoczesnej chirurgii. Zamiast

przypalać krwawiące rany, podwiązywał otwarte tętnice. Zrezygnował z zalewania ran wrzącą oliwą, co powodowało gangrenę. Wprowadził nowe instrumenty chirurgiczne. Dokonywał z powodzeniem niezwykle śmiałych operacji, które dopiero w XVIII wieku chirurdzy odważyli się podejmować.



6 TYLU miał pacjentów Herman Boerhave z Lejdy w Niderlandach, że nawet książęta musieli czekać u niego tygodniami na przyjęcie. Boerhave (1668–1738) sam nauczył się medycyny, czytając wszystkich dostępnych mu autorów. Był wzorem sumienności i pracowitości. Wyleczył

tysiące ludzi, wychował całe pokolenia lekarzy, spisał całą ówczesną wiedzę lekarską. Wiedział, że źródłem postępu nauki jest głównie obserwacja: zorganizował pierwszy nowoczesny szpital kliniczny, gdzie studenci uczyli się, opiekując się zarazem chorymi. Umarł w sławie największego lekarza swego wieku.



7 TLUMY ludzi zbiegały się do londyńskiego zakładu szczepienia ospy. Kierował nim młody jeszcze lekarz, Edward Jenner (1749–1832). Dowiedział się on od chłopów, że ludzie, którzy przechodzili ospę krowią nie chorują na prawdziwą, bez porównania niebezpieczniejszą. Bystri umysł Jennera

wyciągnął z tego ważny wniosek: trzeba zaszczepiać krowią ospę sztucznie, a wtedy zaszczepiony będzie na prawdziwą ospę odporny. Jenner słusznie zaufał ludowej mądrości: uratował od śmierci miliony ludzi. Dziś, dzięki obowiązkowym szczepieniom, nikt się groźnej ospy nie potrzebuje obawiać.



8 DOKTOR Pinel sam chyba zwariował — szeptano w Paryżu w roku 1793 — ma podobno zamiar zwolnić obłąkanych z łańcuchów. — Umysłowo chorych trzymano wtedy z reguły w więzieniach i lochach, pod nadzorem brutalnych strażników. Filip Pinel (1745–1826) pierwszy zerwał z tym

niehumanym zwyczajem, zwalniając na próbę, za specjalnym zezwoleniem władz rewolucji francuskiej, z więzów 12 niespokojnych obłąkanych. Pinel zapoczątkował rozwój psychiatrii, traktując obłąkanych jako chorych, a nie jako „opętanych“, na których nie może być innej rady, niż łańcuchy i bat.



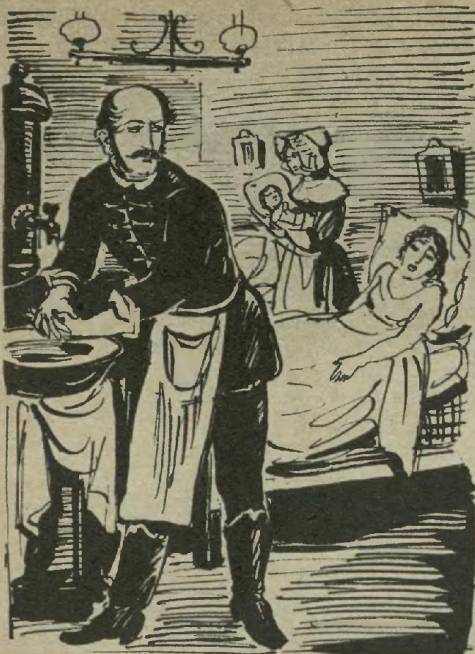
9 RENÉ Laennec zwinął papier w tutkę, owiął go sznurkiem, zastanowił się chwilę, schylił się i przyłożył do piersi zdumionego pacjenta... Tak powstał stetoskop, słuchawka, bez której nie wyobrażamy sobie dzisiaj lekarza, tak jak ludziom średniowiecza medyk kojarzył się z oglądaniem moczku pod światło, a starożytnym le-

karza symbolizował wąż na łasce. Laennec (1781–1826) wprowadził osłuchiwanie płuc i serca. Porównywał objawy choroby ze zmianami anatomicznymi, o jakich informują sekcje zwłok, tworząc w ten sposób podstawowe zasady rozpoznawania chorób. Dziś już rozumuje tak każdy student medycyny, ale... trzeba było na to także odkrywcę.



10 NIECH mi pan ratuje dziecko. Niech je pan ratuje, pan jeden to potrafi... — błagała pani Meister Pasteura, pokazując mu swego synka, pokąsanego przez wściekłego psa. Z największą trwogą dał Ludwik Pasteur (1822–1895) człowiekowi pierwszy zastrzyk z osłabionej mieszaniny zarazków wścieklizny. Uratował chłopcu ży-

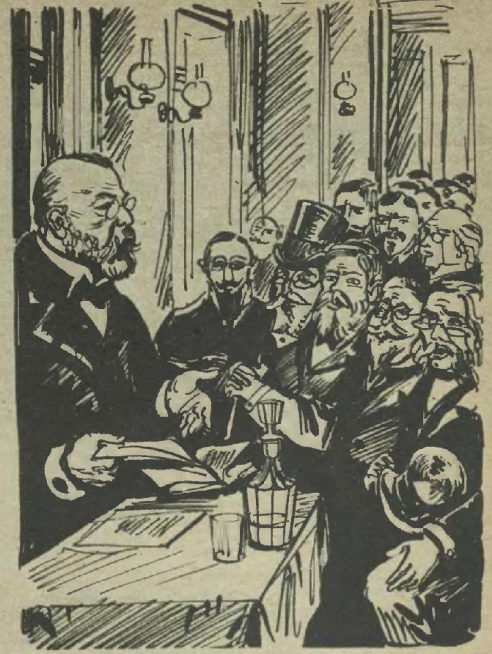
cie. „Nie jestem lekarzem, jestem chemikiem“ — mówił Pasteur. Zrobił jednak dla medycyny więcej niż ktokolwiek inny. Okrył, że bakterie są szkodliwe i umożliwił chirurgowi angielskiemu, Listerowi stworzenie antyseptyki, systemu ochrony chorych przed mikroorganizmami. Pierwszy też odkrył i zastosował szczepionkę przeciwbakteryjną.



11 — JESTEM mordercą! — przemknęło przez myśl lekarzowi węgierskiemu Semmelweisowi, gdy zrozumiał, że on sam zakazał rodzące kobiety gorączką połogową. W szpitalu położniczym w Wiedniu, w którym Ignacy Semmelweis (1818–1865) pracował, gorączka połogowa szerzyła się na oddziale, prowadzonym przez mężczyzn, na oddziale zaś, obsługiwanym przez kobiety, była znacznie rzadsza. Semmelweis domyślił się słusznie, że dzieje się tak, ponieważ lekarze i studenci badają położnice bezpośrednio po sekcjach zwłok. Zażądał od lekarzy odkażania rąk. W ówczesnych wielkich szpitalach ginęła nieraz połowa chorych z winy panującego brudu. Obojętność lekarzy wobec odkrycia Semmelweisa, które wkrótce uzasadnił Pasteur, doprowadziła go do obłędu



12 GDY IWAN Iwanowicz, żołnierz cara Wszechrosji, ocknął się z omdlenia w polowym szpitalu, zdziwił się bardzo, widząc obok pochyłającego się nad nim lekarza, młodą kobietę. Była to jedna z pierwszych fachowych pielęgniarek, które wprowadził do szpitali Mikołaj Pirogow (1810–1881). Największą zasługą tego twórcy polowej chirurgii jest myśl założenia międzynarodowej organizacji sanitarnej, którą sformułował w połowie ubiegłego wieku i którą urzeczywistnił Czerwony Krzyż. Odkrycie szkodliwości bakterii, poznanie anatomii ludzkiej i zastosowanie narkozy umożliwiło wspinały rozwój chirurgii w XIX w. Przyczynili się doń także Polacy m. in. Mikulicz - Radecki (1850–1905), twórca wielu operacji, który zastosował także rękawiczki i maski na twarz



13 NIE BYŁO cierpliwszego człowieka nad Roberta Kocha (1843–1910). Drogą niesłychanie żmudnych obserwacji i doświadczeń dowiódł on pierwszy, że określone bakterie powodują określone choroby. Skromny i mało wymowny, budził podziw swą sumiennością i dokładnością. Ulepszył technikę badań bakteriologicznych, odkrył bakterie kilku chorób, przede wszystkim prątką gruźlicy. Prace jego uzupełniły odkrycia Pasteura, z którym współzawodniczył o palmę pierwszeństwa w walce z bakteriami. Uczniowie obydwóch „ojców bakteriologii” odkryli szybko przyczynę większości chorób zakaźnych i stworzyli szereg nowych szczepionek i surowic. Wkrótce też Paweł Ehrlich (1854–1915) zapoczątkował chemiczne leczenie chorób, wywoływanych przez bakterie.



14 DOPRAWDY rzadko się zdarza, aby prowincjonalny lekarz kolejowy dobił się światowej sławy! Władysław Biegański (1857–1917) sam dziwił się ogromowi swej pracy: pracował w częstochowskim szpitalu, był lekarzem fabrycznym i miał ogromną praktykę. A jednocześnie był twórcą nowoczesnej filozofii i logiki medycyny, znakomitym metodologiem postępowania leczniczego, wszędzie słuchanym prawodawcą etyki lekarskiej. Gigantyczna praca Biegańskiego, przesyciona racjonalizmem i głęboką miłością do człowieka spowodowała, że nazywano go „profesorem bez katedry”. Ten syn słuszarza był wzorem lekarza, pracującego w trudnych warunkach narodowej niewoli i kapitalistycznej obojętności dla zdrowia szerokich mas. Był on prekursorem socjalistycznej medycyny



15 PODCZAS forsowania Odry w 1945 roku Michał Siemionow został ranny w rękę. Nie utracił jej, ale nie mógł nią władać: nerw został zniszczony. Jednak w dwa lata później operacja, wykonana metodą znakomitego radzieckiego profesora Filatowa, przywróciła mu władzę w ręce. Mianowicie, wsiadł Siemionowowi brakującą odcinek nerwu i spowodowano w ten sposób regenerację komórek nerwowych. Profesor Filatow (ur. 1875), rozpoczął przeszczepianie tkanek od operacji okulistycznych, biorąc rogówkę z oka człowieka zmarłego (2 do 12 godzin po śmierci) i transplantując ją choremu, zagrożonemu ślepotą. Zastosowanie metody Filatowa do wielu innych przypadków, otworzyło nowy etap w rozwoju chirurgii. On i uczniowie uratowali wzrok ponad 7000 ludzi



16 DOBRZE, jest, gdy lekarz zwalczy chorobę, lepiej jest jednak nie dopuścić do jej powstania. Idealem naszym jest społeczeństwo, w którym wysoki poziom higieny, dobre moralne i materialne warunki życia i stała kontrola lekarska nad ludnością, zapobiegają powstawaniu chorób. Najlepszym dowodem słuszności takiego pojęcia medycyny jest znaczny spadek śmiertelności, jaki widzimy po wojnie w Polsce. Opiekę nad zdrowiem obywateli sprawuje u nas państwo. Wzrost ilości lekarzy, rozbudowa szpitali, a zwłaszcza ośrodków zdrowia, izb porodowych i sanatoriów, jest spełnieniem słów naszej Konstytucji, które mówią: „Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej mają prawo do ochrony zdrowia oraz do pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy”

WIEDENSKA SESJA

POSIEDZENIA Światowej Rady Pokoju są znakomitą okazją do wzajemnego poznania i wymiany myśli dla najwybitniejszych pisarzy, uczonych, myślicieli, artystów całego świata. Widać na tych posiedzeniach, jak myśli o pokoju, jak wielka ideologia naszego ruchu, zdobywa sobie coraz więcej wybitnych ludzi, a wraz z nimi coraz szersze kręgi społeczeństwa, całe narody!

Wiedeńska sesja Światowej Rady Pokoju szczególnie była obfita w spotkania z wybitnymi indywidualnościami całego świata. Z naukowców można było zauważyć przede wszystkim sylwetkę — jak gdyby młodego człowieka — profesora Joliot-Curie. Niezapomniane wrażenie wywarła na uczestnikach sesji mowa przewodniczącego Akademii Nauk ZSRR Nieśmiejjanowa. Robi on także duże wrażenie w osobistym kontakcie, jako człowiek wielkiej kultury i mocnego — zdaje się — charakteru. Mowa naszego profesora Infelda dopełniała swą precyzją i żarliwością obrazu udziału uczonych całego świata w dziele obrony pokoju.

Z pisarzy widzieliśmy wielkiego chińskiego prozatora Mao-Duna; niestety, nie znamy jeszcze w języku polskim jego utworów. Przyjaciele radzieccy, którzy już te przekłady mają u siebie, zapewniali mnie o wielkiej ich wartości.

Nazim Hikmet jak zwykle serdecznie witał swoich polskich przyjaciół, dla których ma specjalną słabość. Jorge Amado rozpytywał się o przekłady swoich powieści, których nowe wydania ukazały się w dużej ilości na początku przyszłego roku. Anna Seghers to przecie jedna z najpoczytniejszych w Polsce pisarek. Wie ona o tym i okazuje nam zawsze swoją prostą serdeczność.

Tym razem w Wiedniu nie wielu było muzyków. Nasz Panufnik był dosyć osamotniony i nie mógł sobie znaleźć partnera do wystąpienia z wnioskiem o założeniu międzynarodowego związku w obronie prawdziwej muzyki, mogącego się przeciwstawić zalewającemu świat dodekafonizmowi. Jest to w tej chwili jego ulubiony konik. Trzeba mieć nadzieję, że doprowadzi on swoje zamierzenia do pomyślnego rezultatu.

Wiedeń z jego wspaniałym kościołem świętego Stefana, z jego Breuglami, które za każdym razem odwiedza nasza delegacja z należnym nabożeństwem, z jego wspaniałą muzyką — poważną i lekką — stanowi doskonale tło dla tego rodzaju spotkań. Najmilszym na pewno akompaniamentem naszych obrad jest zawsze to echo, jakie znajdują one wśród prostych a tak miłych ludzi stolicy Austrii, którzy nie szczędzą nam oznak swojej sympatii i serdeczności. Świadczy to raz jeszcze o tym, że wielka idea pokoju znajduje oddźwięk u wszystkich prostych ludzi na całym świecie.

Obrady piątej sesji Światowej Rady Pokoju w Wiedniu przebiegały w atmosferze optymizmu i wiary w realizację hasła pokojowych. Wielki obóz pokoju obracając na sesji swoje siły musiał skonstatować, że powiększyły się one bardzo. Pozyskały one wielu aktywnych współpracowników w Eu-

ropie. Narody Azji, Afryki i Ameryki Południowej coraz szczerzej łączą się z naszym ruchem, widząc w nim skuteczny środek przeciwdziałania nasilonym zakusom imperializmu kolonialistycznego.

Delegacja polska na sesji wiedeńskiej w kontaktach osobistych z poszczególnymi delegacjami starała się podtrzymać ów ton przyjaźni i współpracy, tak charakterystyczny dla wszystkich spotkań Światowej Rady Pokoju, a przede wszystkim spotkań z delegacją radziecką. Delegacja radziecka, tym razem liczniesz niż zwykle, składała się z wybitnych działaczy ruchu pokoju, wśród których odznaczają się tacy pisarze jak Iłja Erenburg, Wanda Wasilewska, Surkow, Tichonow. Wkład, jaki daje w ruch obrony pokoju Związek Pisarzy Radzieckich, jest rzeczywiście imponujący. Wszyscy ci pisarze, zajęci sprawami twórczymi i organizacyjnymi u siebie w domu, mają jeszcze czas na pracę bardzo intensywną w Komitecie Obrony Pokoju i na sesjach zagranicznych. To

samo dotyczy naukowców radzieckich. Wspaniała, mądra i odważna — a przy tym wzruszająca — mowa przewodniczącego Akademii Nauk ZSRR, Nieśmiejjanowa, wygłoszona w Wiedniu, dała temu wybitne świadectwo.

Delegacja polska kontaktowała się serdecznie również z delegacją francuską, składającą się z wielu wybitnych działaczy francuskich z profesorem Joliot-Curie na czele. Nasze słowa zapewnienia o zachowaniu przez naród polski tradycyjnych uczuć przyjaznych dla Francji, zostały przyjęte również serdecznie przez delegację francuską i pokwitowane przemówieniem posła do parlamentu d'Astier, który powtórzył nasze słowa: „Jeżeli potrafiliśmy scementować naszą przyjaźń we wspólnej walce przeciw faszyzmowi i w przełanie krwi, to czyż jeszcze bardziej nie wzmocnimy jej przez wspólną walkę o pokój?”

Światowa Rada Pokoju powzięła na swej sesji bardzo ważne uchwały dotyczące głównego zadania walki o pokój, a zmierzające do praw-

dziwego odprężenia w dziedzinie stosunków międzynarodowych.

Uchwały te, i apel do wszystkich narodów świata, stanowią dalszy etap i dalszy program walki na najbliższą przyszłość dla wszystkich prawdziwie miłujących pokój ludzi na całym świecie.

Obrady Światowej Rady Pokoju dotyczyły przede wszystkim dwóch zasadniczych zagadnień, których rozwiązanie stanowi dziś o pokoju na świecie. A więc przede wszystkim zagadnienia niemieckiego; po drugie — rokowań w sprawie zwołania konferencji politycznej, rozwiązującej ostatecznie sytuację w Korei.

Zagadnienie niemieckie stanowiło centralny punkt obrad wiedeńskich. Wypowiedzi na ten temat stwierdziły, że wszyscy członkowie Światowej Rady Pokoju, jako też ludy przez nich reprezentowane, zdają sobie zupełnie jasno sprawę z niebezpieczeństwa, jakie stanowi dla Europy i dla całego świata uzbrajanie tych elementów w Niemczech, które już dwukrotnie były promotorem agresji wojennej. Jednocześnie też wykazywano, że w zagadnieniu odrodzenia pokojowych Niemiec i zjednoczeniu ich w państwo demokratyczne, ogromną rolę ma do odegrania Niemiecka Republika Demokratyczna. W NRD po raz pierwszy w historii postępowe siły, których nigdy narodowi niemieckiemu nie brakowało, znalazły swój wyraz jako organizacja państwowa.

W sprawie niemieckiej nasza delegacja była wyraziście powściągliwa w opinii obradujących, stwierdzając, że nie ma innych sposobów zapewnienia pokoju powszechnego na świecie, a szczególnie w Europie, nie można inaczej przeciwstawić się nowej wojnie, jak tylko przez rzeczywistnie zjednoczenia Niemiec; zjednoczenia w duchu uchwał poczdamskich, na zasadach pokojowych i demokratycznych, tak jak to przedstawiał wielokrotnie Związek Radziecki w swych powszechnie znanych notach dyplomatycznych.

Właśnie w czasie obrad Światowej Rady Pokoju ogłoszona została nota radziecka w sprawie konferencji czterech. Wszyscy uczestnicy sesji Światowej Rady Pokoju powitali notę tę jednomyślnie z całkowitą aprobatą, widząc w niej jeszcze jeden krok na drodze do zapewnienia pokoju. Światowa Rada Pokoju podkreśliła, że najbardziej skutecznym sposobem złagodzenia napięcia międzynarodowego po zostanie nadal konferencja pięciu wielkich mocarstw, o której zwołanie zabiegał już Kongres Narodów, odbywający się w Wiedniu rok temu. W całym świecie odbywa się obecnie walka o zwołanie takiej konferencji.

Nie ulega wątpliwości, że uchwały V Sesji Światowej Rady Pokoju powzięte w Wiedniu znajdują drogę do umysłów i serc milionów ludzi na całej kuli ziemskiej. Idea jedności wszystkich sił walczących o pokój, idea przyjaźni między narodami przezwycięża wszystkie przeszkody i zespala coraz bardziej te siły.

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Leopold Staff, nestor polskich poetów, tłumaczy obecnie łacińskie wiersze Jana Kochanowskiego. Pierwszych dwanaście elegii wielkiego Jana z Czarnolasu ukazało się nakładem PIW-u. Drukujemy nową świeżo przełożoną elegię. Rozmowę Jana Błońskiego z Leopoldem Staffem drukowaliśmy w nr 450 „Przekroju”.

JAN KOCHANOWSKI

ELEGIA

Wiatry, których dech w niebie pogodnym przewiewa!
Jeśli bożek miłości nawet was ogrzewa,
Nieście uszom Filidy, głuchym na westchnienie,
Nieszczęsnego Likota ostatnie zlecenie:
„Filido, dla Likota jest wszystko żaloba,
Obca mu radość, odkąd rozłączył się z tobą.
Czy dzień, czy też wilgotna noc panuje w niebie,
On dniem i nocą płakać nie przestaje ciebie.
Zaden trud do snu oczu skleić mu nie zdoła,
Ani pióro ni Muza nie cieszą się zgola.
Ciebie jednej w strapieniu szukać nie przestaje,
O ciebie pyta wszystkie góry, wszystkie gaje.
Okrutne lasy, woła, gdzie Filida znikła?
Tędy przecież przechodzi śnieżna stopa zwykła,
Gdy pasła ze mną woły, lub Diane łowczynię
Naśladować, stawiała wręcz czoło zwierzynie.
Jakaż góra ją kryje, lub urwista droga?
Czy umyślnie unika mnie dziewczyna sroga?”
Naprawdę głuchym wiatrom smutny się uskarża,
Ostatnie jego słowa echo skał powtarza.
Tymczasem na leśmieszach rdza liszeje szerzy,
Winnica opuszczona, chwast w polu się jeży,
Dzikie lwy się rzucają na bydło bezkarnie
I napadają wilki żarłoczne owczarnie.
W dolinie leżąc biedny Likotos w żalobie
Nie potrafi poradzić ni trzodzie ni sobie.
Oplakują go sosny, wawrzyny zielone
I skały na wierzchołkach gór, stromo zwieszone.
Ty jedna okrutniejsza od dębu i skały
Nie użalisz się duszy kochanka zbolalego.
Pozwalasz, by Likotos trawił się zgryzotą
I czy żyje, czy ginie, zgola nie dbasz o to.
Gdy go utracisz, któż cię pieśnią będzie bawił,
Któż będzie pod wysokie niebiosa cię sławił?
Wszak już dawno zawiesił pióro na jaworze
Starym i tych słów kilka wyrzezał na korze:
„Kocham cię, lutni, byle mnie Filis lubiła;
Lecz gdy jest smutna, tyś mi wraz z życiem niemiła”.
Takie losy Likota są i nadal będą.
Może już Parki nici ostatnie mu przęda.
A wtedy zapłaczesz, naproźnie, niestety,
Gdy jego bezpowrotnie poniesie nurt Lety.

przełożył
z łaciny

LEOPOLD STAFF

STANISŁAW LEM

OBLÓK MAGELLANA

powieść

ilustruje Jerzy Skarżyński

Stanisław Lem jest autorem „Astronautów”, fantastyczno-naukowej powieści o pierwszej wyprawie na Wenus. Powieść ta znana jest na pewno wielu naszym Czytelnikom. „Obłok Magellana”, powieść, którą zaczynamy dziś drukować, opowiada o pierwszej wyprawie poza nasz układ słoneczny, która odbywa się jedenaście wieków później, w 3123 r.

J

ESTEM jednym z dwustu dwudziestu siedmiu ludzi, którzy w roku 3123 opuścili Ziemię, wyruszając po raz pierwszy poza granice układu słonecznego, do gwiazd Centaura. Osiągnęliśmy zamierzony cel i teraz, w dziesiątym roku podróży, rozpoczynamy drogę powrotną.

Pocisk nasz osiągnie niebawem szybkość, przechodzącą połowę szybkości światła, a jednak miną lata, zanim z mroków wynurzy się niedostrzegalna teraz przez nas silniejsze teleskopy Ziemia, jako błękitny pyłek w miliardach gwiazd.

Przywieziemy wam kroniki wy-

prawy, cały nieprzejrany jeszcze ogrom naszego doświadczenia, wiernie utrwalaony w mechanicznej pamięci naszych automatów.

Przywieziemy wam dzieła naukowe niezmierniej wagi, powstałe w czasie lotu. Otwierają one nieprzezwane, bezkresne obszary poszukiwań w głębi Kosmosu.

Ale w podróży tej poznaliśmy coś trudniejszego i piękniejszego niż odkrycia naukowe i tajemnice materii, coś, czego nie może ogarnąć żadna teoria, ani zanotować najdoskonalszy automat.

Jestem sam. Kabinę zalega półmrok, w którym ledwo się wyróżniają kontury sprzętów i małego aparatu przede mną. W jego wnętrzu

drży okrusz kryształu, utrwalający mój głos. Zanim zacząłem mówić, zamknąłem oczy, pragnąc być bliżej Was. Słyszałem wtedy wielką, czarną, nieskończoną ciszę Wszechświata, która przygniatała nas i osaczała przez lata. Będę usiłował powiedzieć Wam, jakieśmy ją pokonali.

*

Stałem na małym lotnisku, położonym w suchej trawiastej kotlinie pośród brzozowych i olchowych zagajników. Czekala już na mnie mała raketka, jeden z tych zabawnych odrzutowców, które, opadając na grunt, rozkładają w powietrzu swoje trzy pletwy, by wylądować na nich pionowo, na podobieństwo

hieratycznej amfory z wydłużoną w dziób szyją. Miała zawieźć mnie na statek gwiazdowy, Geę, który, nakształt sztucznego księżyca, okrążał Ziemię od wielu tygodni. Wszystkie pożegnania miałem już za sobą — z ludźmi, krajobrazami, wspomnieniami — byłem gotów do drogi, lekki, spokojny, z iskrą tajemnego głęboko podniecenia — a jednak odwlekałem chwilę odlotu. Ze smugi cienia, rzucanego przez stateczek, patrzałem na niedaleką grupę świerków, aż granatową pod światło. Wokół wszystko było bezruchem, nagrzaną ciszą dnia, w którym wiosna niepostrzeżenie przechodzi w lato, kosmate główki jaszków chyliły się na łożyskach, ja-

kiś ptak odezwał się niedaleko i przeleknięty własnym głosem, umilkł. Miałem to wszystko odrzucić jednym ruchem jak pływaka, odbijającego od brzegu. Tuż przy mojej stopie kwitła kępka fioletoowych kwiatków; pochyliłem się, by je zerwać, lecz wyprostowałem się z pustą dłonią. Po co, zwiędnię. Niechaj raczej pozostaną takimi, jakimi opuścił je mój wzrok. Wspiąłem się na stopnie, raz jeszcze się obejrzałem — świerki stały strzeliście, ich czern w tysiącach miejsc przekłuwał czerwony blask zachodu. Chciałem się uśmiechnąć, zależało mi na tym, nie mogłem. Własny bezruch, przedłużając się, niedostrzegalnie napełniał się jakimś niepojętym jeszcze ciężarem.

— Można lecieć — powiedziałem machinalnie, schylając głowę w wejściu i siadłem.

— Można lecieć — odpowiedział pilot-robot. Pocisk drgnął i skoczył w górę. Widziałem przez okrągłe przezierniki gwałtownie uciekającą Ziemię. W kabine zrobiło się jaśniej, to słońce weszło dla mnie jeszcze raz tego dnia. Potem błękit nieba, jakby wyżarzony, zbladł, szterniał i pokazały się gwiazdy. Nie chciałem na nie teraz patrzeć; złożywszy ręce na oparciu fotela przede mną, siedziałem tak, nie wiem jak długo, aż rozległ się sygnał.

Daleko w dole, za oknem płonęło słońce, oślepiająca kula w aureoli kosmatych płomieni. Przed nami, w mrowiu nieruchomych gwiazd, ukazywały się kolorowe, rosnące w oczach sznury ogników; były to boje świetlne, zawieszane spiralami wokół Gei; wyznaczały drogę jednokierunkowego ruchu dla rakiet towarowych, odrzutowców, i małych, jak mój, pocisków, od których roło się przy okrecie. Przelecieliśmy nad nim dwa razy, widocznie na lotnisku był tłok; potem przyszło radiowezwanie przybicia. Stateczek wykonał przepisaną pętlę — nagle oślepiło mnie srebrne tynięcie — to były światła naszych własnych reflektorów, odbite w pancerzu Gei; zawieszona nieruchomo, rosła jak potwornie nadymany balon, potem jej blask ziemniak. Zachodziliśmy już z boku; długi na kilometr prawie, rybi korpus okrętu powiększał się, wypełniając całe niebo. Nastąpił delikatny wstrząs i znowu zapłonęły światła, ale już inne.

Zaledwie wysiadłem i postąpiłem kilka kroków (w pobliżu nie było żadnego człowieka), ruchome schody poczęły mnie nieść w górę. Nie dojechawszy do najwyższego poziomu, zszedłem w bok, na nieruchomy, podobny do galeryjki występ. Tutaj, jakies trzy pietra pod mną, rozszerzało się lotnisko towarowe. Pośród matowych pasów stali człapały, stukotały, furczały i dmuchały kroczące ładowarki i spychacze, posuwistym kaczym chodem przemierzając przesłania nad wybiegami rakiet.

Okrągłe klapy wylotowe bez ustanku otwierały się i zamykały, jak pyski pośpiesznie oddychających ryb; ciężarowe rakiety wyrzucały ładunek na taśmy bez końca — Gea wypełniała się zapasami na lata podróży.

Wsiadłem do windy. W ścianie widniał mikrofon informatora; spytałem o inżyniera Yrjöla, kierownika technicznego wyprawy. Był na dziewiątym pokładzie. Pojechałem tam. Znalazłem się wnet we wnętrzu przestronnego korytarza. Po mojej lewej ręce widniały wnętrza drzwi, po prawej zaś ściane stanowiła ciągnąca się, jak daleko okiem sięgnąć, szklana płyta. Padał z niej blask, jak od pochmurnego nieba. Idąc przed siebie zauważyłem, że był zmienny; ogarniało mnie coraz silniejsze wrażenie, że kroczę wzduż wielkiego lasu. — Śmieszne

złudzenie — pomyślałem i zbliżyłem się do szklanej płyty.

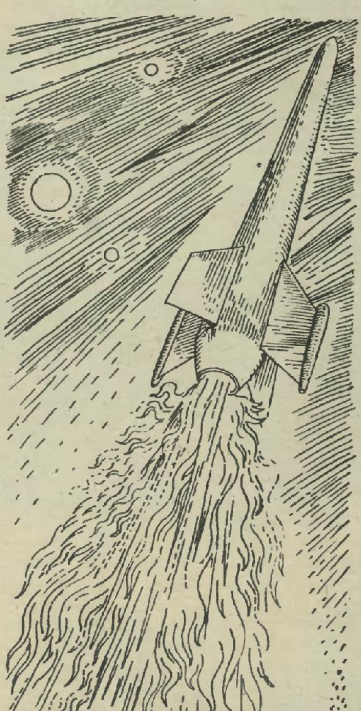
W dole rozpościerał się olbrzymi park. Z wysokości, na której stałem, widniały korony drzew i buków, chylące się na wietrze, soczyste trawniki między żywopłotami, kręte alejki, kwiatowe klomby, jeziora, a dalej pejzaż leśisty, ciągnący się aż po horyzont nieba, zasnutego mlecznymi obłokami. Przyłożywszy twarz do szklanej płyty dostrzegłem w głębi pod mną czarniawe skały, osuwającą się po nich pienistą linię potoku i tam, gdzie kryła się za głazami, gromadkę cyprysów. Pierwsze wrażenie przysło.

— Złudzenie — pomyślałem — wytworzone przez wideoplastykę, tę prawnuczkę barwnej telewizji i filmu stereoskopowego, nic więcej...

W tej chwili ktoś położył mi rękę na ramieniu.

Przedem stał człowiek wysoki, szczupły, nieznacznie przgarbiony, o ciemnorudej czuprynie z twarzą, w pierścionki skręcających się włosów. Twarz miał chudą, młodą, usta szerokie, o cienkich chwytnych wargach. Uśmiechał się, mniąc policzki w mnóstwo fałdek i ukazywał ostre białe zęby. Poznałem go, zanim się odezwał.

— Jestem Yrjöla, konstruktor —



„Pocisk drgnął i skoczył w górę...”

powiedział — a ty jesteś naszym lekarzem okrętowym, prawda?

Przytaknąłem i podałem mu rękę, którą mocno uściśnął, a potem lekko otworzył i dotknął jej wnętrza.

— Wioslarz? — spytał, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Skinąłem głową.

— Z tym będzie u nas gorzej. Ale ty przecież biegasz, doktorze, jesteś maratończykiem, prawda?

Ten sportowy wywiad rozbawił mnie.

— Owszem, odparłem, ale obawiam się, że tam — wskazałem ręką za szybę — biegać nie można? Tam nie ma, prawda?

— Co znowu!? — zmartwił się moim niedowiarstwem. — To prawdziwy ogród... no... może trochę mniejszy, niż się stąd wydaje...

Znow się uśmiechał. W połyskujących oczach, w twardej, rudej czuprynie, w twarzy miał coś pociągającego, dużo było w niej szelmowskiego, może odrobinę nawet chytrego humoru. Patrzył na mnie, mrużąc szybko, jakby się zamyślał nad wypowiedzianymi przeze mnie słowami.

— Doktorze — powiedział — Gea

to diabelnie wielka i zawiła historia, a nasza podróż — jeszcze zawiłsza... wiesz co, zanim obejmiesz swoje królestwo szpitalne, poświęć mi piętnaście minut czasu, dobrze?

Zaskoczony tym wstępem, raz jeszcze skinąłem głową. Wziął mnie za ramię i poprowadził w stronę najbliższej wnęki. Zjechaliśmy windą na dół. Liczyłem kondygnacje: winda stanęła na pierwszej. Otworzyli się drzwi, naprzeciw zwiślały splecione liście powoju. Pod podszewkami zachrobotał żwir, w nozdrza uderzył świeży, jodłowy powiew. Po kilkudziesięciu krokach obejrzałem się i przystanąłem, zaskoczony. Wzgórzysta, rozległa okolica rozpościerała się na wszystkich stronach, aż po widnokrąg, w który schodziły sinawe klify leśnych masywów.

— Doskonałe złudzenie! — wyrwało mi się.

Yrjöla przyglądał mi się zaszępioty.

— Czekaj — powiedział — przyrzekłeś mi piętnaście minut. Chodźmy dalej. — Przeszliśmy płaczką trawnika, opadającego w dół; dalej drogę kamień potok, pieniący się wśród kamykolistych brzegów. Yrjöla przesadził go jednym susem. Na drugim brzegu wspiął się bez widocznego wysiłku na wielki głaz i wskazał mi ręką miejsce obok siebie.

Przez długą chwilę milczeliśmy. Wiatr stawał się silniejszy, jego żywiczny zapach zmagał chłód, bijący od potoku, który rozpryskiwał się pod naszymi stopami. Na drugim brzegu, w zakolu prądu stały majestatyczne, posępne świerki kanadyjskie. Ich podobne do barów niedźwiedzi korzenie wiły się i znikały w szczelinach skały. Chciałem spytać, czy to jest już złudzenie — przez cały czas usiłowałem odkryć miejsce, w którym rzeczywisty park przechodzi w panoramę wideoplastyczną — lecz nie mogłem dostrzec najmniejszych śladów przejścia. Złudzenie było zupełne.

— Doktorze — powiedział niegłośnie Yrjöla — nie wiem, czy słyszałeś, że jestem jednym z konstruktorów Gei? Proszę cię, nie myśl o niej jako o zespole dobrze zaprojektowanych maszyn. Pomyśl: wykreślając jej przyszłe kształty, przewidując użyteczność wszystkich jej urządzeń, nie planowaliśmy przecież tego, co jest jedynie ważne, tego, że Gea będzie, oprócz naszych ciał, jedyną częścią Ziemi, jaką zabieramy...

Musiałem nateńczyć słuch, tak cicho mówił Yrjöla. Woda potoku kotłowała się i kipiła pod nami.

— To nie jest zwykły okręt. Wzrok twój będzie napotykał jego ściany w pierwszej chwili przebudzenia, w chorobie, w odpoczynku i pracy — dzień za dniem, noc za nocą — przez lata całe. To będzie nie okręt twój, ale kraj, doktorze. Twoja ojczyzna.

Pomilczał.

— Nie ma jeszcze piętnastu minut, ale to wszystko. Słuchaj, to ty zwyciężyłeś w maratonie 3117 roku?

— Cóż to ma...

— Ma. Zwyciężyłeś wszystkich, prawda?

— Tak.

— Więc daj rękę.

Podałem mu dłoń; pociągnął mnie w tył. Głaz, na którym siedzieliśmy, dotykał tu następnego; spoglądając wwyż, widziałem ogromne usypisko piargów, aż po szczyt rozłożystego zbocza. Yrjöla przybliżył moją rękę do następnego głazu. Spodziewałem się jego chropawej, zimnej powierzchni. Jednakże palce przeszły przez kamień, jak przez powietrze, i zatrzymały się na płaskim metalu. Zrozumiałem. Tu właśnie biegła granica ogrodu, tutaj kończyły się drzewa i glazy rzeczywiste, a rozpoczynało ich wyczarowane wideoplastyką złudzenie,

dalekie lasy, pochmurne niebo, góry nad nami... wszystko.

Puścił moją rękę. Było to dość niezwykłe widowisko: przedramię, do łokcia pograżone w glazie, który nie istniał naprawdę. Wzrok klamał dotykowi. Cofnąłem dłoń — gdy się ukazała, złudzenie wróciło do poprzedniej pełni.

Milczeliśmy. Dopiero, wychodząc z windy na czwartej kondygnacji, Yrjöla odezwał się:

— Wszystko to słowa, nic więcej. Będzie trudno, tak mówimy, albo jednak domyślamy się, co to znaczy. Wydelikacita nas cywilizacja, jak jagódki ciepłarniane, pulchne, rumiane, nie uwedzeni dostatecznie w dymie diabelskim!

— Cóż on o tych diablach — przemknęło mi przez głowę, a głośnie powiedziałem:

— Nie tacyśmy znowu ciepłarniani, jak mówisz...

— To tyś pokaże, bo przed nami. Na razie tyle: będziemy robić swoje, prawda?

Przymknąłem oczy, a gdy je otworzyłem, znikł już, jakby sam był tylko wideoplastycznym złudzeniem — ta myśl wywołała cierpkie uśmiech.

Na obiad przyszedłem już po obejrzeniu powierzchni mojego szpitala, w towarzystwie koleżanki, młodej lekarki, Anny Ruys. Była moją przewodniczką w labiryncie korytarzy okrętowych, gdyż przebywała na Gei już od tygodnia. Trzeci lekarz, chirurg Schrey, miał przyjechać na Geę lada godzina.

Sala jadalna była cytrynowa i srebrna. Na bladej sztalizacji ścianach widniały liczne malowidła, przedstawiające sceny z życia średnio-wiecznych miast, strop zaś był jakby wykryształizowany w ogromnym bloku kryształu. Chwiejne światło świec, płonących na stolikach, rozszepelało się w jego diamentowych rozetach. W wejściu przyłączył się do nas jeden z historyków, biorących udział w wyprawie, ter Haar wielki, masywny mężczyzna o dużej, a przecież dziecięcej nieco twarzy; nie był już młody, ale złote włosy i równie złote, długie jak u kobiety rzęsy jak gdyby umywały mu lat, kontrastując osobliwie z ciężkim ciałem. Doszliśmy do stolika w samym końcu sali. Siedział przy nim samotny człowiek, który podniósł się na nasze spotkanie: był to ter Akonian, kierownik wyprawy. Kiedy obsługujący automat przybliżył się i wydobywając ze swego kryształowego wnętrza ogrzane potrawy, wprawnie nakładał je na talerze, z ponad błysków zastawy przypatrywałem się sędziwemu astrologowi. Twarz jego sucha, brunatna, ciemna, przywodziła na myśl kraj, który go wydał — piękne, nieruchome, posępne góry Kaukazu. W krótko przyszytych brodzie czerni włosów mieniła się błękitnawo, niczym stal bardzo starej, hartowanej klingi. Może stąd — pomyślałem — pochodzi jego przydomek „stalowego astrologa”.

Niebawem pojawiły się jeszcze dwie osoby: Nils Yrjöla, syn inżyniera, i Soledad, znana rzeźbiarka. Siedząc obok chłopca, wyglądała niemal jak jego rówolatka; w jej drobnej twarzy dostrzegało się tylko ciemne duże wargi; oczy miała przymrużone, ramiona chude, jak u dziewczynki, ale zapamiętałem dobrze twarde, odważny uścisk jej dłoni.

Obiad zapowiadał się niesłychany. W rubinowej ramce przede mną świecił sznysty spis potraw, a karta win przypominała grubą średnio-wieczną książkę. Na stole było granatowych, złotych i zielonych naczyń, że napawało mnie zdumieniem, jak mieszczą się na jego szczupłej powierzchni. Anna Ruys, siedząca po mojej prawej ręce, jadła smacznie, robiąc do każdego kęsa trochę okrągłe oczy, jakby był zbyt wielki. W pewnej chwili spojrziała badawczo w kryształową ta-

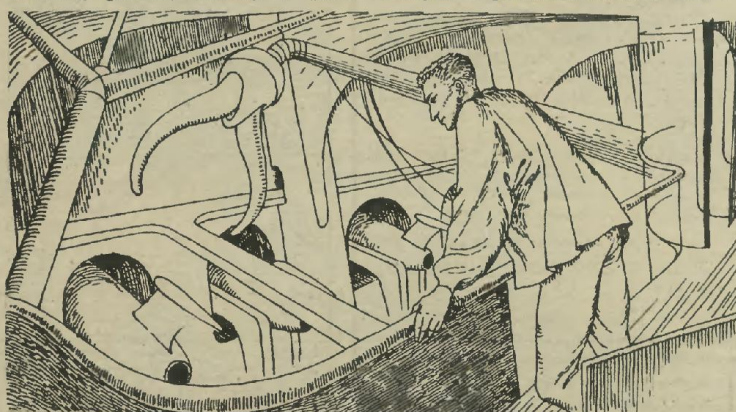
fle, oddzielającą nas od sąsiedniego stolika, i ruchem, właściwym kobietom od niepamiętnych czasów, poprawiła włosy.

Wykwitn obiadu dziwił mnie i nawet odrobnie niecierpliw, milczałem jednak, sądząc, że towarzysze są innego zdania, ale ter Haar pierwszy nie wytrzymał:

— Och — powiedział — przedobrzyli, i to ma znaczyć „czym chata hogata“, ale człowiek się tu przecież namęczy!

Roześmieliśmy się. Od razu nastrój stał się bezpośredni; teraz jednocześnie Anna i ja odważyliśmy się odmówić automatu, który chciał nam nałożyć jeszcze jedną jakąś niezwykłą potrawę, a historyk, nachylając się ku mnie, szepnął konfidentycznie:

— Spójrz na to malowidło, tam na ścianie — jak ci się podoba? Zwróciłem głowę w tę stronę. Fresk przedstawiał ulicę średnio-wiecznego miasta. Po obu stronach jezdni stały dziwaczne domy z oknami przeciętymi krzyżem, o dachach spiczastych jak błazeńskie czapki. Środkiem jezdni toczył się pojazd na żelaznych szynach. Za przednią szybą stał kierowca w rurkowanej peruce, odziany w pawi



„Trzy piętra pod mną rozwierało się lotnisko towarowe...”

kolet ze złotymi guzikami. Wokół szyi miał koronkowy kołnierz. Mocno na korbie osadzoną dłońią prowadził swój przedpotopowy wehikuł, wypełniony ludźmi, których twarze wychylały się zza jego trójkątnego pieroga z piórpuszem.

Nie bardzo wiedziałem, co w tym obrazie śmieszy ter Haara, który chichotał cichutko, mrugając do mnie porozumiewawczo. Jednak nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi.

— Jakto, nic nie widzisz? — wybuchnął ter Haar. — Przecież to elektryczny wóz, tak zwany tramwaj, czyli rzecz dzieje się na przełomie XIX i XX wieku, a motorniczy i pasażerowie są ubrani jak szlachta na dworze królów francuskich? Wybacz, ale wy wszyscy — widelcem zrobił okrągły gest — jesteście okrągłymi ignorantami w dziedzinie historii...

— E — odczwała się Anna — czy to takie ważne? Artysta pomylił się o sto, czy dwieście lat, stroje zmieniały się wtedy prawie co chwila — pamiętam takie widowisko wideoplastyczne...

Widziałem, że to lekceważenie kanonów prawdy historycznej trochę dotknęło ter Haara, ale nic nie powiedział. Ponad głowami towarzyszy spoglądałem w głąb sali. W sali siedziało chyba ze sto pięćdziesiąt osób. Ktoś wstał w głębi i spytał, czy obecni nie mają przeciw jakiemuś utworowi muzycznemu; zaprzeczono chóralnie i niebawem popłynęła przytłumiona muzyka.

Po obiedzie Anna zabrała się energicznie do oprowadzania mnie po statku. Zwiedziliśmy oba wielkie obserwatoria astrofizyczne, hale lotnisk dennych, hale sportowe i pływackie, sale dzieci, pomieszczenie filharmonii, zajrzeliśmy do

centralnego parku, potem zaś wzbili się windami na górę i obejrzeli kolejno siedemnastce laboratoriów. Przy osiemnastym miałem już dosyć — w głowie wirowało od marmurowych okładzin, berylowych dzwigarów, przejrzystych szybów wind, w których jak kule światła pulsowały windy — towarzyszką, widząc, jak zachwyt mój powoli przemienia się w zmęczenie, zafrasowała się; wsadziła nawet mały palec do ust, ale pod moim spojrzeniem zaraz go wyjęła i zakrzyknęła radośnie:

— Byłeś już, kolego, na galerii gwiazdowej?

Zaprzeczyłem. Potrząsnęła triumfalnie włosami, wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy w nowym kierunku. W końcu długiego korytarza wisiła matowa zasłona; rozchylił ją i ze światła wpadli w najgłębszą czerń. Zrazu nie widziałem nic, potem z wolna oczy przywykły do mroku. Staliśmy w korytarzu tak przestronnym, że można go nazwać salą, gdyby nie jego niezwykła długość. Co kilkadziesiąt kroków znajdowały się drzwi, oznaczone fosforyzującą strzałką, i aleja tych jakby zawieszonych w powietrzu kresek biegła

rzawa gwiazd. Potem spacerowaliśmy jakiś czas po pokładzie; Anna opowiadała mi o sobie; była na Gei z ojcem, znanym kompozytorem. Teraz właśnie wykonywano w filharmonii jego szóstą symfonię. Zdziwiło mnie, że nie zaproponowała nawet, byśmy jej wysłuchali.

— Ach, znam ją tak dobrze... a czy ojciec ogląda wszystkie moje operacje? — powiedziała tak poważnie, że nie byłam pewny, czy to żart. Ostatecznie jednak pojechaliliśmy na koncert. Gdyśmy się zbliżyli do westibulu, wyłożonego płytami chryzoprasu, zagrzmieli, najwyższe i zwieńczające melodie tony finału i niebawem słuchacze zaczęli wysypywać się z sali, zstępując w dół po schodach, które białą smugą schodziły tutaj do żywopłotów; wysłał im je na spotkanie centralny park. Staliśmy na piętrze, niezdeterminowani, a wokół płynęli ludzie: matematycy, fizycy, astrofizycy, chemicy... cała ludność Ziemi była tu reprezentowana. Anna szepem wymieniała mi nazwiska, dzielnie pełniąc rolę przewodniczki, ale musiała chyba dość mieć mego, nazbyt milczącego towarzysza, a gdy w pewnej chwili uśmiech zakończyła niedosć dobrze zamaskowanym ziewnięciem, pożegnałem ją, życząc dobrej nocy.

Zostałem sam, wciąż na podeście. Wzrok błąkał się pośród ciemnych i jasnych głów; ludzi szło coraz mniej, jeszcze jakaś zapóźniona para, jedna, druga... już zbierałem się do odejścia, gdy w szerokim portalu między kolumnami ukazała się samotna sylwetka kobiety.

Była to wielka, dziwna uroda. Owalna twarz, niskie łuki brwi, ciemne oczy i niezmiennie pogodnie, wypukłe czoło, a wszystko to jeszcze jakby nie ustalone nie znające się, jak pierwszy świt letniego dnia. Skonczona, sformowana, chciałoby się rzec — ostateczne — były tylko jej usta, jakby znacznie dojrzalsze od twarzy. W wyrazie ich było coś takiego, co budziło zarazem radość i niedosyt. Udzielała swego piękna wszystkiemu, do czego się zbliżała. Gdy doszła do schodów, położyła dłoń na chropawym gładzie obrzeża, i ta martwa bryła jakgdyby ożyła na mgnienie. Szła ku mnie. Jej ciężkie włosy mieniły się wszystkimi odcieniami brązu. Mijając mnie, podniosła głowę; ściegła szwi wystąpiły jak struny delikatnego instrumentu.

— Sam? — spytała.

— Sam — przytwardziłem, wymieniając moje nazwisko.

— Callarla — powiedziała — jestem biofizykiem.

Nazwisko było mi znane, lecz nie pamiętałem, skąd. Staliśmy może sekundę, która wydała mi się wiecznością. Potem skinęła mi głową i ze słowami „dobranoc, doktorze“ — poczęła schodzić w dół. Przeciagnałem ręką po twarzy i w taki sposób dopiero przekonałem się, że się uśmiecham. Uśmiech ten zwał. W twarzy tej kobiety — uświadomiłem to sobie teraz — było coś bolesnego. To było bardzo drobne, może niedostrzegalne wśród ludzi, ale było. Taką twarz może mieć ktoś, kto ukrywa przed ukochanym cierpieniem, i to ukrywa dobrze — tylko zupełnie obcy człowiek może je spostrzec, i to tylko w pierwszym widzeniu, gdy potem, przywykawszy, zaniewidzi. Trudno, pomyślałem, każdy z tych kilkuset ludzi, którzy udają się teraz na spoczynek w wygodnych apartamentach Gei, bierze w podróż do gwiazd wszystkie swoje ziemskie sprawy, nieposobów ich przecież strząsać przed wyruszeniem w otkłań jak strząsnęliśmy z obuwia proch Ziemi.

*

Odłot nasz nastąpił w kilka dni później. Pierwej Gea pięciokrotnie jeszcze okrążyła Ziemię. W tym czasie przytaczały się do niej liczne

statki, wielkie i małe, które miały stanowić jej eskortę honorową i odprowadzić okręt aż do orbity Marsa, towarzysząc mu na drodze siedemdziesięciu milionów kilometrów. Tę część drogi, jak zresztą całą przestrzeń układu słonecznego, Gea przebywała w stosunkowo długim czasie, nie mogąc z uwagi na pobliże planet i innych ciał grawitujących, rozwinąć pełnej szybkości podróży. Tak tedy sześćset towarzyszących nam rakiet mogło lecieć obok nas bez trudności. Nie było jakie zadanie przedstawiało uszykowanie tej armady, lecz astrofizycy sprawili się z nim doskonale. Przed nami mknęły, rozrzucone na obszarze tysiąca kilometrów, płaskogłowe rakiety pasażerskie, otoczone rojem małych stateczków, które to wypryskiwały z nich, to powracały do swych okrętów macierzystych, by napędląć zbiorniki paliwem. Przy manewrze, kiedy cała ta ogromnie rozciągnięta flota wymijała tor asteroidy lub potoku meteoroidowego, rozbiły się w oddali trafione słonecznym promieniem pancerze rakiet i wtedy cała przestrzeń roiała się przez sekundy od błysku. Szlak nasz nie był prosty. Musieliśmy, oprócz naznaczonych na mapach rakiet meteoroidowych, wymijać także strefy, którymi ciągną bez przerwy ogromne bezładne rakiety towarowe, przewożące wodę na Marsa. Przepłynęliśmy ponad ich traktem na wysokości siedmiu tysięcy kilometrów, tak, że tylko przez zwrócone w dół teleskopy można było widzieć te drobne ciała, jak żywo cyrkulują po drodze oznaczonej rzadka bojami świetlnymi.

Księżyc mijaliśmy w czwartej godzinie lotu. Obserwatoria zwrócone ku nam południowej półkuli poęgnały nas niesłychanym fajerwerkami, wyrzucając w przestrzeń kilkadziesiąt tysięcy barwnych ognia rakietowych; po godzinie jeszcze, kiedy srebrna półkula satelity okrywać się poczyniała cieniem, widniały wciąż rozpraszające się w przestrzeni zwoje i smugi fosforyzującego dymu.

Długo patrzyliśmy na Księżyc który przez czas jakiś zakrywał Ziemię, zanim wychynęła spoza niego oczęta, błękitem palającą tarczą. Na Księżycu toczyły się ostatnio wielkie prace górnicze; przez teleskop Gei doskonale widać było na Morzu Obłoków stada wieżowych koparek i czerpalek, kuszykające w ciężkim piachu pustyni. Potem obraz ten przesłaniały poczęły nibyśmy jakieś, były to po prostu mknące w ślad za Geą rakiety, które całą chmurą przesłaniały tarczę księżycową. Orbitę Marsa przecięliśmy w znacznej od niego odległości, bo wynoszącej dwadzieścia sześć milionów kilometrów; czerwony glob przetoczył się od północnego wschodu na południowy zachód i zmalował tak szybko w ciągu nocy, że kiedy wstał następnego dnia, widniał już na skrajach tarcz telewizyjnych jako czerwona plamka.

Teraz dopiero towarzyszące nam rakiety zaczęły skupiać się i lawi-



„— Jakie śliczne — szepiała...”

— Każdy poeta potrzebuje dopełnienia swej twórczości i szuka go w dziełach innych twórców. Musi też stale doskonalić swój kunszt, a nie w tym bardziej nie pomaga, niż przekład.

— Dobór tłumaczonych wierszy mówi też zwykle wiele o samym tłumaczu?

— Za czasów mojej młodości najchętniej tłumaczyłem ówczesnych poetów rosyjskich, przeważnie tzw. „symbolistów”; ostatnio pracowałem nad Niekrasowem. Jest w tym pewna logika...

— Od poetów symbolizmu, przeszedł Pan do dziewiętnastowiecznego demokracji-rewolucjonisty, zajmującego się najchętniej sprawami społecznymi...

— Słusznie, ale nie tylko to: Niekrasow pociąga mnie wspaniałością swego artysty i bogactwem uprawianych rodzajów poezji...

— Pana poezja także była zawsze wszechstronna...

— Poezja nie może ograniczać swych tematów i form. Naturalnym celem każdego rzetelnego twórcy musi być poetyckie przetworzenie jak najbardziej rozległych obszarów życia. Starałem się też nie zacieśniać w samej tylko liryce: zawsze uprawiałem satyrę...

— ...w której zajmował Pan bardzo wyraźne postępowe stanowisko polityczne, ostro atakował sanację, zwłaszcza w „Balu w operze”...

— ...satyrę i poezję humorystyczną — tego określenia nie trzeba się bać — która jest także, jak mi się zdaje, potrzebna!

— I napisał Pan jedyny właściwie w dwudziestolecu i latach następnych wielki poemat epiczny „Kwiaty Polskie”. Epika poetycka jest nam teraz bardzo potrzebna. Z „Kwiatów Polskich” niejedną młody poeta mógłby się wiele nauczyć.

— Ale epika jest też dla współczesnego poety niezmiernie trudna. Poza tym, tradycja epiki poetyckiej w naszej literaturze zanikła, w przeciwnieństwie np. do Rosji.

— Jeśli dobrze pamiętam, najwcześniejsze Pana wiersze, do których się i dziś Pan przyznaje, noszą datę 1912. Od tego więc czasu upłynęło czterdzieści lat. Ciekaw jestem, jak Pan z dzisiejszej perspektywy patrzy na swoją dawniejszą poezję?

— Zgadzam się właściwie ze swoimi krytykami. W pierwszych latach po wojnie — pierwszej — byliśmy upojeni, pełni wiary w przyszłość kraju. Buntowaliśmy się przeciwko pesymizmowi i estetyzmowi poezji młodopolskiej. Poeci, którzy na mnie wtedy największą działali, byli wielki Amerykanin, Walt Whitman i Francuz Rimbaud — jego „Statek pijany” to moje największe w życiu przeżycie poetyckie — no i oczywiście, poeci

rosyjscy! I Staff! Staff był dla mnie pierwszym objawieniem poezji... Przypuszczam, że w mojej liryce było później sporo objawów ucieczki od życia, jak się to mówi. Inaczej w satyrze... Wszystko to krytyka, zdaje się, trafnie powiedziała...

— Jeszcze jedno pytanie. Gdyby Pan miał ze swego doświadczenia artystycznego wysnuć rady dla dzisiejszego młodego poety, co by Pan powiedział?

— Więcej troski o dobre rzemiosło, więcej starania o indywidualność artystyczną. Mówię tylko o stronie artystycznej, bo ideowo nasza młoda poezja stoi na wysokim poziomie.

— Sądę, że wyrażę myśli wszystkich Pana czytelników, jeśli powiem na pożegnanie tak: dziękujemy za wiersze, które Pan napisał i prosimy o nowe!

Rozmawiał: JAN BŁOŃSKI

WRAŻENIE było ogromne...



Drogi Redaktorze!
Jako pracownik Bielskiego Przemysłowego Zjednoczenia Budowlanego, które

prowadzi budowę kolejki linowej na Szyndzielnię miałem sposobność uczestniczyć w próbnych jazdach kolejki.

Wrażenie było ogromne. Ja i moi koledzy nie znajdowaliśmy wprost słów, by wyrazić swój zachwyt i radość z tej nowej inwestycji. Jaka oddaje Polska Ludowa do użytku, w trosce o wygodę obywateli. Chciałbym się tą radością podzielić z wszystkimi czytelnikami „Przekroju”, miłośnikami gór i turystyki letniej i zimowej tym bardziej, że „Przekrój” wielokrotnie informował czytelników o postępach budowy kolejki.

A więc do zobaczenia na Szyndzielni. Proszę tylko nie zapomnieć o nartach, bo są tam wspaniałe tereny dla narciarzy, zarówno początkujących jak i zaawansowanych.

Zalążam zdjęcie z trasy kolejki z widokiem w stronę Bielska-Białej.

M. Gąsior, Bielsko-Biała



— Pani jest ciotką Kobalskiego! Dziwne. Owszem, Kobalski Piotr pracuje u nas, ale zobaczyć się teraz pani z nim nie może. Właśnie dziś zwołał się na pani pogrzeb...

POMIDOROWA komplikacja

Do Redakcji „Przekroju”!

Redakcja Wasza zwróciła się niedawno do trzech wybitnych znawców raka, aby wypowiedzieli się w sprawie domniemanego wpływu spożycia pomidorów na rozwój tej choroby u człowieka. Ich wypowiedzi są bardzo jasne, słuszne i całkowicie rozstrzygające zagadnienie. — Na marginesie tej sprawy pragnę dodać kilka informacji. Będą one dotyczyć nie pomidorów, które są doskonałym pokarmem, ale niektórych „preparatów” pomidorowych, którymi nas częstują ogrodnicy, nie skalani głębszą wiedzą przyrodniczą a które nie są już tak korzystne dla organizmu. Bowiem pewna ilość tzw. pomidorów na rynku, to nie owoce normalnie dojrzałe, lecz właśnie preparaty. Nazywam tak pomidory, zerwane przed całkowitym dojrzeniem i sztucznie doprowadzone do wyglądu owoców dojrzałych. Zaczynamy od małego wykładu biologii.

Narządem płciowym rośliny jest kwiat, który służy do zachowania gatunku i znika (wędnie, usycha) z chwilą uformowania się zawiązka owocu wewnątrz jego łagiewki. Ziarno jest u roślin tym samym, czym płód u ssaków, a jajo u płazów, gadów i ptaków.

Rośliny, jak wszystkie istoty żyjące, używają przeróżnych „fortelów” dla zapewnienia swemu gatunkowi propagacji (zapłodnienia lub zasnienia). A później ileż „dowcipu” okazują rośliny, aby ich bezwładne, bezogie ziarenka mogły wędrować daleko w świat i zdobywać przestrzeń życiową dla swego gatunku!

Bodajże najdowcipniej urządza się tzw. rośliny owocowe. Ich smako, wite jabłka, gruszki, jagody służą jedynie po to, aby nas zachęcić do zerwania owocu i zapłacić nam za wypłucie pestki lub wyrzucenie ogryzka gdzieś zdala od macierzystego ogrodu. Sowiec pokrywa te rośliny kosztu transportu swych dojrzałych ziarenek — chociaż nigdy nie uczyły się ekonomii.

Lecz nie przynosi roślinie korzyści, tylko stratę, zerwanie owocu niedojrzałego. Dlatego też wyjątkowo perfidnie bronią się przed żarłocznymi szkodnikami, gromadząc w swych niedojrzałych owocach różne jady, kwasy, goryczki i garbniki, które w krzywiąca paszczę każdego łakomczucha i odbierają mu apetyt. Kto niszczy niedojrzałe ziarenka, zjadając zielone owoce ten jest narażony na przykre wrażenia smakowe a zarazem zagrożony w swym zdrowiu, bo w owych substancjach owe sprzążają rozwój białek, czerwoności, tyfusu brzuszego, cho-

lery. Jak widzimy, rośliny potrafią stosować obronę chemiczną przeciwko swym wrogom.

Rodzina psiankowatych (pomidory, kartofle) w obronie swych niedojrzałych owoców „nie waha się” nawet przed złośliwą trucizną — solaniną. Kto więc zjada zielone jagody kartofla, albo zielone pomidory — ten absorbuje i solaninę. A wiadomo że alkaloid ten jest szkodliwy dla zdrowia. Systematyczne spożywanie zielonych pomidorów nie jest więc dla zdrowia pożyteczne.

Tu więc tkwi kwestia ewentualnej szkodliwości pomidorów. Na jesieni sprawa ta jest szczególnie aktualna.

Spróbujmy ją rzeczowo i obiektywnie rozwiązać.

Okres płodności pomidorów jest dla naszego klimatu za długi. Ich „popęd” płciowy po prostu niewyczerpany. Głód rozmnażania — nie nasycony i ślepy. Już przymrozki za pasem, a pomidory wciąż kwitną i kwitną, wydając wciąż nowe i nowe jagody, chociaż nie ma warunków na ich dojrzenie.

Bezmyślni ogrodnicy zapobiegają mrozom w ten sposób, że zrywają zielone, niedojrzałe pomidory i układają je w skrzyniach, aby „same” stały się czerwone. I do głowy im nie przychodzi, że tak niewinnie przygotowują dla swych odbiorców „piguli”, zawierające truciznę. Bo przecież zjawienie się barwnika w miąższu pomidora nie jest dowodem jego dojrzałości. Trująca solanina, jaką posiadała zielona jagoda pomidora dla obrony niedojrzałych ziarenek przed żarłokami, pozostała nadal na miejscu, nie mając uciechu do krwi drogą cyrkulacji

soków, która ustawa wskutek zerwania niedojrzałego owocu. Stan przejściowej szkodliwości został utrwalony dla konsumenta.

Żeby mógł zająć proces naturalnego odrucia — pomidor musi dojrzeć i zacerwieńnić się na krzaku, przy pełnej cyrkulacji soków i pod działaniem promieni słonecznych. Należy więc jeść tylko pomidory dojrzałe na pnju, gdy już wszystkie ochronne trucizny zostały odprowadzone do ziemi, a na ich miejsce — jako przynętę — zjawiały się substancje pożyteczne dla zdrowia ludzkiego.

Ale że wspomniana zachłanność rozrodcza pomidora nie pozwala na takie naturalne dojrzewanie wszystkich owoców przed nadejściem zimy w naszym klimacie — trzeba ten proces przyspieszyć sztucznie —

lecz bez zrywania owoców.

Wiadomo z doświadczenia, że wszystkie istoty żywe, gdy mają zagrożone życie, przyspieszają tempo dojrzewania płciowego; ich organizm „śpieszy” zachować gatunek. Więc i pomidorom na jesieni należy „zagrażać” życie, aby skrócić ich okres wegetatywny i zmusić do pośpiesznego dojrzewania zielone ich jagody przy zachowaniu krążenia soków.

Moje próby zaszczepienia pomidorom różnych chorób całkowicie zawiodły, gdyż zanim się one rozwinęły, nadchodził mróz, który niszczył zielone jagody. Trzeba więc było zastosować metody chirurgiczne. Ale i z tych obcinanie zjawiających się wciąż nowych kwiatów nie dawało efektu, gdyż jak na przekór zjawiało się coraz więcej zawiązków kwiatowych, a zielone jagody jeszcze wolniej dojrzewały, bo w cała energia życiowa rośliny była zaangażowana w walce o obcinane kwiaty. Więc spróbowałem podcinania korzeni. Owszem, było skuteczne — ale niecelowe, gdyż paraliżowało krążenie soków, a zatem nie czyniło pomidora całkowicie wolnym od szkodliwej solaniny. Wówczas zastosowałem trzecią metodę — i ta okazała się doskonałą. Łodygę pomidora tuż nad ziemią przebiegał płaskim bagnetem (nożem) na wylot (prostopadle, aby nie przeciąć arterii krążenia soków) i w otwór wskłamałem kilnek drewniany grubości małego palca. Dzięki temu obcemu ciału rana była stale szeroko otwarta i nie mogła się zasklepić. Był cały rośliny od jej podstaw został zagrożony, a jej wysięk witalny całkowicie skierował się teraz na przyspieszenie tempa dojrzewania zielonych pomidorów dla zachowania gatunku. Wszystkie kwiaty zwiędły i uschły, a żaden nie ukazał się nowy. Zielone zaś jagody przybrały śliczny żywy rumieniec i całkowicie dojrzały na pnju w przededniu zabójczego przymrozka.

Takie naturalne pomidory, wolne od niebezpiecznej solaniny, stanowią wysoko wartościowy środek odżywczy. I takich pomidorów nie należy utożsamiać z preparatami sztucznie „dojrzałymi” z dala od łodyg, bez krążenia soków i bez słońca — chociaż noszą one wspólną nazwę. Pomidor nie dorówna pomidorowi! Dr Stanisław SZANTER



— Wacuś, jeśli już idziesz do kuchni, to przynieś mi po drodze szklankę wody...



Widok na Annapurnę z pierwszego obozu. Drugi obóz zasłania lawina

przeleciał film wspomnień. Marsz przez dżunglę, poszukiwania szczyni, trudy ostatnich dni „obleżenia” i wspinaczki. Teraz już było blisko. Czy można się poddać?

Odpowiedział: „Pójdę sam”. Chwila ciszy.

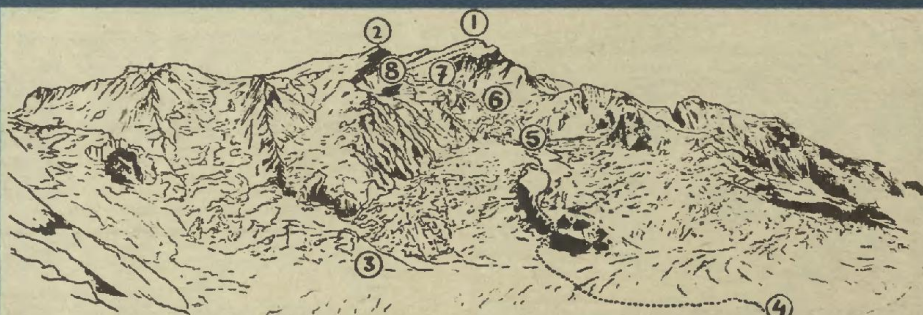
„Idę za tobą” — gdzieś z przestrzeni usłyszał Herzog. Kości były rzucone. Odrądzili jak bracia.

Zboczyło nagle stało się bardziej strome. Stała przed nimi śpiętrzona ściana skalna. Herzog zrozumiał, że nie jest zdolny do podjęcia z nią walki, że nie ma siły do wbijania klamer, wspinania się i podciągania. Nie zabrali zresztą liny. Czyżby tutaj, o krok od zwycięstwa, miała ich spotkać klęska?

Nagle zobaczył podniesioną rękawicę Lachenala i usłyszał tryumfujący okrzyk: „Żleb”. Mieli szczęście. Stromy, ośnieżony żleb przerwał skalny wał, pnąc się ku górze. Skreślił ku niemu i ruszyli z trudem, wybijając z wysiłkiem stopnie w twardym śniegu. Czekałami utrzymywali równowagę, zarzu-

STEFAN
WILKOSZ:

Annapurna



Szkic wyprawy na Annapurnę. 1. Główny szczyt Annapurny (8075 m.). 2. Wschodni wierzchołek Annapurny. 3. Lodowiec u północnego podnóża szczytu. 4. Obóz pierwszy. 5. Obóz drugi. 6. Obóz trzeci. 7. Obóz czwarty. 8. Obóz piąty.

Francuska wyprawa wysokogórska na Annapurnę (8075 m.) w Himalajach, w 1950 r. była wstrząsającą walką człowieka z przyrodą. Po długiej wędrówce przez góry, wy-

prawa dotarła w okolice szczytu. Po ostatecznym sataurmu wyruszyli dwaj najlepsi alpinisci: Herzog i Lachenal, po nocy spędzonej samotnie w namiocie na zalewiskach skalnych.

O ŚWIECIE dnia 3 czerwca wiatr ustał. W namiocie na wysokości ponad 7500 metrów dwaj zdrewniali, półprzytomni ludzie poczęli z wolnymi ruchami gramolić się spod płachty namiotu. Ruchy ich były bezładne i nieskoordynowane. Myśl była wysiłkiem, mowa bohaterstwem. Milczeli. Nie mieli dość energii, aby ugotować herbatę. Popatrzyli sobie w oczy i zrezygnowali. Mieli przed sobą i tak olbrzymi wysiłek — włożenie butów. Zasznurowanie trwało pół godziny.

Zostawili w namiocie wszystko, co nie było niezbędniejsze. Zrezygnowali nawet z nylonowej liny. Kilogram oszczędności. Herzog zabrał apteczkę, tubkę skondensowanego mleka, nugaty, parę zapasowych skarpetek i aparat fotograficzny. Kamera filmowa nie działała. Nie wytrzymała zimna. Zostawił ją z zalewiską, ale i z ulgą.

O 6-ej rano zaczęli wspinaczkę. Szli w ciężkim śniegu. Chwilami wychodzili na lżejszy, zlodowaciały teren, ale i tam co pewien czas lód zalał się pod ostrzami raków.

„Zmienialiśmy się w torowisko szlaku — pisał w swoim pamiętniku Herzog — i często zatrzymywa-

liśmy się, nie zamieniając ani słowa. Każdy z nas żył w zamkniętym, prywatnym, własnym świecie. Obserwowałem podejrzliwie działanie mego mózgu. Umysł pracował, zdawałem sobie jednak sprawę z niskiego stanu mojej inteligencji. Najłatwiej było uciepić się jakiejś jednej myśli. Było to też najbezpieczniejsze.

Mróż był przenikający. Mimo naszego puchowego odzienia, czuliśmy się nędzy. Marsz był straszliwie wyczerpujący i każdy krok stawał się walką ducha z materią.

Lachenal był dla mnie czymś nakształt zjawy. Był sam w swoim świecie, ja w moim. Czulem się, jak gdybym był zanurzony w czymś nowym i nienormalnym. Miałem najdziwniejsze i najostrejsze wrażenia, jakich nigdy przedtem nie zaznałem w górach. Było coś nadnaturalnego w moim spojrzeniu na Lachenala i na otoczenie. Uśmiechałem się w duchu, widząc marność naszego wysiłku, jak gdybym obserwował samego siebie z zewnątrz. Ale stopniowo całe uczucie wyczerpania znikło, jak gdyby nie było już więcej ciężaru ciała. Ten przeźroczysty krajobraz, ta kwintesencja czystości — to nie były gó-

ry, które znałem. To były góry moich marzeń.

Śnieg rozpylony na każdej skale, połyskujący w słońcu, miał promieniujące piękno, przenikające do serca. Nigdy nie widziałem podobnej przejrzystości: żyłem w świecie z kryształu. Dźwięki były niedosłyszalne, atmosfera jak z waty... Fantastyczny wszechświat, w którym obecność człowieka nie była przewidziana. I na pewno nie pożądana...

Mimo piękającego słońca mróż przenikał alpinistów coraz bardziej. Lachenal od samego początku marszu miał zdrewniałą z zimna nogę. Siadł, zdjął but, masował stopę, znowu ruszył. „Odmrożona” — wyszeptał. Herzog też nie czuł swoich nóg. Pot zalewał im oczy, oddech świszczał, a serca trzępotały w gardłach.

Herzog straszliwym wysiłkiem wewnętrznym odganiał pokusę myślenia o odwrocie. O bezużyteczności całej wyprawy. O nikłych szansach powrotu. O tym, że szczyt Annapurny to aż 8075 metrów...

Nagle poczuł na ramieniu rękę Lachenala. Chrapliwy szept: „Jeżeli zawrócę — co zrobisz?”

Przez śpiący mózg Herzoga

cając je przed siebie jak kotwice, po każdym kroku, gdy przystawali, aby uspokoić serca, które rozsadały piersi.

Żleb stawał się coraz bardziej stromy, wychodził najwidoczniej na przełęcz. Dochodziła druga godzina; ruszyli o szóstej. Ostatnim wysiłkiem wygramolili się ze żlebu, omijając glazy — i nagle wielki, wściekły wiatr uderzył im w twarz. Nad nimi już nic nie było. Stali na szczycie Annapurny.

Herzog trwał w uniesieniu i sam nie wiedział, czy patrzy na fantastyczny krajobraz Himalajów rozciągający się dokoła w cudownym słońcu, czy słucha wewnętrzznego głosu tryumfu. Nie wiedział, jak długo to trwało — zanim nie usłyszał złośliwego głosu Lachenala: „Trzeba schodzić. Nogi mam odmrożone”.

To przywołało Herzoga do przytomności. Prędko — trzeba zrobić fotografie. Wyciągnął z plecaka zmiażdżoną francuską flagę, dał do ręki Lachenalowi i począł pstrykać.

„Przedaj, przedaj” wołał Lachenal, przestępując z nogi na nogę, „nie mamy chwili do stracenia”.

Herzog też trząsł się z zimna. Ale trudno mu było rozstać się z tym rekordem świata — najwyższym dotychczas osiągniętym szczytem. Tymczasem Lachenal już ruszył pierwszy w dół. Jeszcze jedno spojrzenie — i Herzog zanurzył się w żlebie. Zatrzymał się u jego wylotu, aby dopiąć klamry plecaka i złapać oddech. Nagle rękawice wymknęły mu się z rąk i zrazu wolno, a potem coraz szybciej, podskakując po gradach, pomknęły w stronę przepaści. Herzog patrzył za nimi bezsilnie, zdrewniały ze strachu. Rozumiał, co to znaczy w straszliwym mrozie, i na tej wysokości.

„Szybko, szybko do V obozu”. Rozpoczął pójść za Lachenalem. Zdał mu się, że pędał — choć spełzał z trudem po spadzistym zboczku. Pojawiły się obłoki, potem chmury. Wiał lodowaty wiatr. Lachenal był już o paręset metrów w przodzie i niknął w gęstniejącej mgłeczce. Wreszcie z boku Herzog zobaczył biel namiotu — nie, dwóch namiotów! To koledzy z do-

ANKIETA

Konkursy „Przekroju” dostarczyły już nieraz naszym Czytelnikom rozrywkę, oraz okazji do sprawdzenia swych wiadomości, swej pomysłowości. Konkurs-ankieta, który przynosimy obok ma także i inny dodatkowy cel. Pragniemy, aby dostarczył on zespołowi redakcyjnemu cennych dla nas informacji.

Proponujemy Wam taki eksperyment: obok macie wypisane, ponumerowane pytania z dziedziny zagadnień międzynarodowych, i odpowiedzi na te pytania. Spośród odpowiedzi na każde pytanie (oznaczonych literami a, b, c, d) tylko jedna lub dwie są trafne — pozostałe są fałszywe. Widzicie również na tej stronie kupon. Podkreście na nim przy numerze, który odpowiada danemu pytaniu, literę (albo dwie litery) oznaczające odpowiedź. Waszym zdaniem trafne. A więc np. jeśli uważacie, że na pytanie 1) odpowiedź pierwsza jest trafna — podkreście na kuponie przy liczbie 1) literę „a”. Na wypełnionym w ten sposób kuponie wpiszcie swe imię, nazwisko i adres i włożcie do koperty zaadresowanej: **Kraków 1, „Przekrój”, skrytka pocztowa 533 (Konkurs-ankieta).** Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 5 stycznia 1954 r.

A teraz uwaga: **WSZYSTKIE** nadesłane kupony wezmą udział w losowaniu cennych nagród. Powtarzamy: wszystkie kupony, bez względu na to, czy zawierają one jedną odpowiedź trafną, czy z błędami, mają tym razem jednakowe szanse. Bowiemy drugim celem naszej ankiety, oprócz rozrywkowego, jest zebranie danych, których dostarczą nam zarówno Wasze trafne jak też mylne odpowiedzi. Wyniki ankiety, szczegółowo przez redakcję przestudiowane, pozwolą nam wyciągnąć ważne wnioski dotyczące tematyki zagranicznej w „Przekroju”. Chcemy się zorientować, jakie zagadnienia zagraniczne powinniśmy dokładniej omówić w naszych artykułach, czy pojęcia i terminy, którymi się w tych artykułach posługujemy, zostały przez nas dostatecznie wyjaśnione itp. Dlatego też prosimy Czytelników, by na pytania dawali odpowiedź z pamięci, bez sprawdzania w gazetach, tygodnikach, książkach czy w inny sposób. **Po ogłoszeniu prawidłowego rozwiązania** (co nastąpi w nrze 458 „Przekroju”) każdy uczestnik ankiety będzie miał okazję sprawdzić czy jest uważnym czytelnikiem artykułów na tematy międzynarodowe w prasie. Prosimy **WSZYSTKICH** Czytelników o wzięcie udziału zarówno w naszej ankiecie, jak i w konkursie „Zgaduj zagadła”.

NAGRODY:

1. Kupon materiału ze 100% wełny na ubranie męskie lub kostium damski
2. Szafka biblioteczna, oszklona, na 300 książek
3. Piękna walizka oraz 37 innych nagród.

1 Które państwa zaliczamy do pięciu wielkich mocarstw?

- a) Anglię, Francję, USA, ZSRR, Chiny
- b) Anglię, USA, Francję, Indie, ZSRR
- c) USA, ZSRR, Niemcy, Francję, Włochy
- d) Chiny, USA, Anglię, ZSRR, Holandię

2 Jaki kraj wysunął w ONZ wniosek zmniejszenia o 1/3 sił zbrojnych wielkich mocarstw?

- a) Szwecja
- b) Szwajcaria
- c) Indie
- d) ZSRR

3 Co ukradła Polsce Kana-
da?

- a) arrayas wawelskie
- b) rękopis Kopernika
- c) biblię ks. Wujka
- d) obraz Leonarda da Vinci

4 Co to jest „Beneluks”?

- a) koncern przemysłu zbrojeniowego
- b) związek celny trzech państw europejskich
- c) republika w Południowej Ameryce
- d) siedziba sztabu amerykańskiego

5 Jaka partia rządzi obecnie w Wielkiej Brytanii?

- a) „Partia Pracy”
- b) „Partia Konserwatywna”
- c) „Partia Liberalna”
- d) „Partia Monarchistyczna”

6 Kto w XX wieku zarządził palenie postępów książek?

- a) Hitler
- b) Mc Arthur
- c) McCarthy
- d) Salazar

7 Gdzie się odbył ostatni Kongres Narodów w Obronie Pokoju?

- a) w Berlinie
- b) w Budapeszcie
- c) w Wiedniu
- d) w Warszawie

8 Jakiemu krajowi Ameryki Południowej, rząd brytyjski ostatnio odebrał konstytucję?

- a) Hondurasowi
- b) Panamie
- c) Urugwajowi
- d) Gujanie

9 O co toczy się spór między Anglią a Egiptem?

- a) o tamy na Nilu
- b) o piramidę Cheopsa
- c) o wycofanie wojsk brytyjskich
- d) o Sudan

10 Jakie państwa wchodzą w skład neutralnej komisji repatriacyjnej w Korei?

- a) Szwecja, Szwajcaria, Polska, Czechosłowacja, Indie
- b) Polska, ZSRR, USA, Chiny, Pakistan
- c) Francja, Wielka Brytania, Chiny, USA, Indonezja
- d) Szwajcaria, Szwecja, Norwegia, Polska, Burma

11 Co to jest Taiwan?

- a) wyspa zwana inaczej Formozą
- b) koncern przetworów owocowych
- c) siedziba kłiki Czang Kai-szeka
- d) generał południowo-koreański

12 Ile ludności liczą Chiny?

- a) 800 milionów
- b) 500 milionów
- c) 300 milionów
- d) 200 milionów

13 Ile ludności liczą Stany Zjednoczone?

- a) 600 milionów
- b) 300 milionów
- c) 150 milionów
- d) 75 milionów

14 Które państwa demokracji ludowej są członkami ONZ?

- a) Polska
- b) Czechosłowacja
- c) Rumunia
- d) Węgry

15 Ile państw (europejskich i azjatyckich) tworzy obóz pokoju i demokracji?

- a) sześć
- b) dziesięć
- c) dwanaście
- d) piętnaście

16 Kto jest przewodniczącym obecnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ?

- a) zięć premiera Wielkiej Brytanii?
- b) brat prezydenta USA
- c) siostra premiera Indii
- d) mąż znanej gwiazdy filmowej

17 Który kraj demokracji ludowej ma najliczniejszą flotę handlową?

- a) Polska
- b) Rumunia
- c) Bułgaria
- d) Czechosłowacja

18 Który z tych hitlerowskich zbrodniarzy wojennych przeżywa na wolności?

- a) Schacht
- b) Keitel
- c) Streicher
- d) Kesselring

19 Jaki kraj posiada najbogatsze złoża ropy naftowej?

- a) USA
- b) Iran
- c) ZSRR
- d) Arabia Saudyjska

20 Na jakiej konferencji międzynarodowej została ustalona granica polsko-niemiecka na Odrze i Nysie?

- a) w Teheranie
- b) w Moskwie
- c) w Jaicie
- d) w Poczdamie

21 Co jest główną cechą polityki Adenauera?

- a) militarystyka
- b) denazyfikacja
- c) rewizjonizm
- d) liberalizm

22 Które państwo domaga się bezwarunkowego zakazu broni masowej zagłady?

- a) ZSRR
- b) Wielka Brytania
- c) Polska
- d) Belgia

23 W którym roku powstała Niemiecka Republika Demokratyczna?

- a) w 1941
- b) w 1945
- c) w 1949
- d) w 1952

24 Co się dzieje obecnie z Mossadikiem?

- a) został stracony
- b) ukrywa się
- c) przeżywa w więzieniu
- d) jest na wygnaniu

25 W którym kraju przyrost produkcji przemysłowej w ciągu ostatnich lat dwudziestu był największy?

- a) w Polsce
- b) we Włoszech
- c) w USA
- d) w ZSRR

26 Jak się nazywa statek zrabowany Polsce przez piratów Czang Kai-szeka?

- a) „Soldek”
- b) „Batory”
- c) „Praca”
- d) „Kopernik”

27 W którym kraju partia socjalistyczna bierze udział w jednolitym froncie klasy robotniczej?

- a) we Francji
- b) we Włoszech
- c) w Wielkiej Brytanii
- d) w Austrii

28 Jakie państwa prowadzą spór o naftę perską?

- a) Indie i Irak
- b) Iran i Wielka Brytania
- c) Pakistan i Egipt
- d) USA i Wielka Brytania

KUPON

1	a	b	c	d
2	a	b	c	d
3	a	b	c	d
4	a	b	c	d
5	a	b	c	d
6	a	b	c	d
7	a	b	c	d
8	a	b	c	d
9	a	b	c	d
10	a	b	c	d
11	a	b	c	d
12	a	b	c	d
13	a	b	c	d
14	a	b	c	d
15	a	b	c	d
16	a	b	c	d
17	a	b	c	d
18	a	b	c	d
19	a	b	c	d
20	a	b	c	d
21	a	b	c	d
22	a	b	c	d
23	a	b	c	d
24	a	b	c	d
25	a	b	c	d
26	a	b	c	d
27	a	b	c	d
28	a	b	c	d

Adres

Imię i nazwisko

Mata DORRIT

Artur Clennam znajduje się w więzieniu dla niewypłacalnych dłużników, gdzie opiekuje się nim Mata Dorrit. Obydwójce wyznali sobie swą miłość. Pan Pancks sprowadził do matki Artura podejrzanego Francuza, Rigauda, który już od pewnego czasu kręcił się wokół jej domu. Między panią Clennam a Rigaudem rozpoczyna się decydująca rozmowa.

RIGAUD wstał z krzesła i usadowił się na stole bujając nogami. W tej swobodnej pozie wpatrywał się w zaciętą twarz pani Clennam, a wasy języki mu się pod nosem, który z kolei opuścił się ku wąsom.

— Madame, jestem gentlemanem... — zaczął.

— O którym — przerwała mu pani Clennam niewzruszonym tonem — doszły mnie uwłaczające pogłoski w związku z pobytami jego w więzieniu francuskim i oskarżeniem o morderstwo.

Pan Rigaud z właściwą sobie przesadną galanterią przesłał jej pocałunek.

— Właśnie. Zgadza się co do joty. I to o zamordowanie damy! Cóż za absurd! To wprost niewiarygodne! Miałem zaszczyt odnieść wówczas wielki sukces i mam nadzieję,

MAŁA DORRIT 352
je, iż teraz także będę miał zaszczyt odnieść wielki sukces. Całuję rączki łaskawej pani. Madame, ja chciałem powiedzieć przedtem, jestem gentlemanem i gdy mówię: „Dziś zakończę ostatecznie tę czy ową sprawę”, istotnie kończę ją ostatecznie. Oznajmiam więc pani, że odbywamy dziś ostatecznie posiedzenie w naszej drobnej sprawie. Czy wyświadczy mi pani tę łaskę, że zechce słuchać mnie uważnie i rozumieć, co powiem?

— Tak — rzekła pani Clennam marszcząc wciąż brwi i nie odrywając oczu od pana Rigaud.

— W swoim czasie napomknąłem, że mam do sprzedania coś, co — jeżeli nikt tego nie kupi — skompromituje pewną damę, którą niezmiernie szanuję. Wyjaśniłem w ogólnych zarysach, o co chodzi. Zażądałem, o ile mnie pamięć nie myli, tysiąca funtów. Czy dobrze pamiętam?

Pani Clennam, zmuszona do mówienia, odparła z wysiłkiem:

— Zażądał pan aż tysiąca funtów.

— Obecnie żądam dwóch tysięcy. Są to zle skutki zwleknięcia.

— Powtarzam panu raz jeszcze, jak już mówiłem przedtem, że nie jesteśmy bogaci, jak pan błędnie przypuszczał. Żądanie pańskie jest wygórowane. Nie mam obecnie środków na jego zaspokojenie, choćbym nawet bardzo tego pragnęła.

MAŁA DORRIT 353
„Choćbym!” — zawołał Rigaud. — Proszę tylko postuchać tej damy i jej „choćbym!” Czy chce pani powiedzieć, że wcale pani tego nie pragnie?

— Nie mogę panu nic ofiarować za rzecz, której charakteru i znaczenia nie znam dokładnie. Po raz trzeci rzuca pan tu jakieś aluzje i pogroźki. Musi pan wytłumaczyć wszystko wyraźnie, albo niech pan sobie idzie, dokąd się panu podoba i robi, co się panu podoba. Lepiej dać się rozszarpać od razu, niż być myszą na łasce takiego kota.

— Życzę więc pani sobie, madame, abym opowiedział urywek z historii rodzinnej w tym ścisłym rodzinnym kole — rzekł Rigaud.

Skrzyżował nogi, przechylił się wraz z fotelem, i opierając lewy łokieć na kanapie, lewą ręką od czasu do czasu trącał panią Clennam w ramię, aby podkreślić znaczenie swych słów. Prawą ręką natomiast to poprawiał włosy, to pokręcał wąsa, to znów dotykał własnego nosa, wszystkie te gesty sprawiały jednak takie wrażenie, jak gdyby ustawicznie groził starej damie. Brutalny, czelny, chciwy, okrutny i świadom swej władzy, kontynuował arogancko opowiadanie.

DALSZY CIĄG NASTĄPI

HALINA CZERNY-STEFANŃSKA

Kartki PAMIETNIKA

WNASZYM MIESZKANIU w Krakowie zjawiało się dwóch mężczyzn. Przyjechali z Wytwórni Filmowej z Łodzi, proponując mi nagranie ilustracji muzycznej do „Młodości Chopina”. Zaczęliśmy od razu omawiać szczegóły. Muzykę do filmu opracowywał Kazimierz Serocki. Ustalił on już z góry, co trzeba będzie grać. Okazało się, że nie wszystko umiem. Nie grywałam dotychczas na przykład w ogóle... Etiudy rewolucyjnej i Krakowiaka z orkiestrą. Miałam niezbyt dużo czasu na przygotowanie — ale wzięłam się zaraz do roboty. Pojechałam na wakacje do Łagowa i tam w „muzycznej atmosferze” ćwiczyłam od rana do wieczora.

Okazało się, że nagrywać będziemy nie w Polsce, lecz w Wiedniu, gdzie znajduje się jedna z najlepszych aparatów dźwiękowych w Europie. Przed wyjazdem poszłam na konferencję do realizatora filmu, Aleksandra Forda. Miał on już zebrane w wykonaniu różnych artystów na płytach, utwory, jakie stanowić miały ilustrację do filmu. Wyliczone było wszystko

co do sekundy. Tutaj dowiedziałam się dopiero po raz pierwszy wszystkich szczegółów o „Młodości Chopina”, zorientowałam się w jakiej sytuacji przychodził jaki utwór itd. Potem — Wiedeń.

Byłam tu po raz pierwszy. Cóż, kiedy nie miałam nawet czasu na zwiedzenie miasta. Cała ekipa filmowa pracowała dosłownie codziennie do późna w nocy.

Zaczęłam równocześnie próby do koncertu. Miałam grać na otwarcie sezonu Wiedeńskiej Filharmonii. Dyrygował — jeden z najlepszych kapelmistrzów austriackich, Moralt. Zarówno on jak i ta właśnie orkiestra, mieli towarzyszyć mi w nagraniu do filmu. Zespół był naprawdę świetny, ale Chopina grali bardzo źle. Serocki wiele razy załamывał ręce zanim wreszcie był z nich mniej więcej zadowolony.

Studio leżało ładnych parę kilometrów od Wiednia. Nagrywanie zaczynało codziennie o ósmej rano.

Zazwyczaj gdy nagrywa się udźwiękowienie, film jest już zmontowany i wyświetlany na ekranie studia. Muzyka jest wyliczona co do jednego taktu, a dyrygent prowadzi orkiestrę patrząc na to, co dzieje się na ekranie. Z „Młodością Chopina” było inaczej. Film nie był jeszcze skończony. Wszystkie utwory nagrywałam w całości, a dopiero później kierownik muzyczny wybierał je,

skracał, fragmentował itd. Zależnie od potrzeb realizatorów filmu kilka utworów musiało grać już „na czysto” — po kilka razy (np. Etiudę a-moll), gdyż powtarzały się one wielokrotnie podczas samego filmu. Nagrywanie praktycznie wyglądało w ten sposób: najpierw Serocki zapowiadał.

— Zagra pani teraz utwór ten a ten.

Potem ktoś z obsługi technicznej głośno wołał:

— Chopin, numer jedenasty!

Rozlegało się coś w rodzaju kłasnienia. Wówczas zaczynałam grać. Reszta tak jak przy nagrywaniu płyt. Z tym, że gdy po kilkakrotnym nagrywaniu jakiegoś utworu wszyscy już byli z niego zadowoleni — i służba techniczna i ja, Serocki kręcił głową z niezadowolaniem i mówił:

— Grajmy jeszcze raz. Tu trzeba więcej życia, więcej temperamentu!

Dobry sobie! Więcej temperamentu, gdy się gra już dziesięć godzin pod rząd...

I wreszcie — premiera. Pięknie udekorowane i oświetlone kino „Moskwa” w Warszawie, tłumy zaproszonych gości, główni wykonawcy: Wołłejko i Śląska, wielu aktorów, realizatorów. Siedziałam podziwiając przede wszystkim świetną synchronizację muzyki z obrazem. Patrząc na ekran pamiętałam, że przecież kto inny siedzi przy fortepianie (Wołłejko), do kogo innego należał sfilmonowane na klawiaturze ręce (do Żmudzińskiego, który miał najbardziej ze wszystkich naszych pianistów ręce podobne do odlewów rąk Chopina), a kto inny wreszcie gra muzykę, którą się słyszy (to już ja). Zupełnie jednak nie odczuwało się tej „składanki”.

Pierwsze wrażenie? Olbrzymi zawód. Krakowiaka z orkiestrą, nad którym tak bardzo się namęczyłam przygotowując go w bardzo krótkim czasie, w ogóle nie grano. Fragment z Krakowiakiem wycięto z filmu przy montażu.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

„ANNAPURNA” — DALSZY CIĄG ZE STR. 16-tej

Iu doszli do V obozu, dla ewentualnej pomocy.

Herzog ostatnim wysiłkiem zwałił się na sznur namiotu. „Szczyt zdobyty — wracamy z Annapurny!” — To było wszystko, co miał do powiedzenia. Zabrakło mu słów. Zresztą zobaczył przerażone twarze kolegów. Patrzyli na jego ręce. Były białe-fioletowe, twarde jak drewno.

Gdzieś z mgły dobiegł ich okrzyk: „Pomocy!” To Lachenal, który zbłądził, przewrócił się, pojechał kilkadziesiąt metrów po zboczu, zgubił czepek, rękawice i czapkę. Sprowadził go do namiotu półprzytomnego, przemarzniętego, opatanowanego strachem przed amputacją odmrożonych nóg i rąk. Dygotał, wołał o lekarza, chciał natychmiast schodzić dalej. Koledzy, przybyli z dołu zabrali się do zwyczajów. Kawatem liny zaczęli bić ich po rękach, masować, nacierać i bić znowu. Na zewnątrz wyla burza. Jak gdyby Annapurna mściła

się za zdobycie.

Tak przeminęła noc. Masaż, herbata i walka o utrzymanie namiotów, które lada chwila mogły pofrunąć w przestrzeń. Rano burza nie ustępowała. Czyżby już początek monsunu?

Herzog i Lachenal wstawali jak w malinie. Koledzy włożyli im z wielkim trudem buty na popuchnięte, obolałe nogi. Uwiązali się linami po dwóch i poczęli schodzić. Śnieg dawno zamiótł ślady, ale drogie mieli utrwaloną w pamięci. Wiatr opadł i tylko śnieg walił olbrzymimi płatami, zmniejszając widoczność do kilkunastu metrów. Potem mgła otoczyła ich białym pierścieniem.

Powinni już być w IV obozie. To musi być w prawo. Nie — w lewo. Poczęli zygawkować, szukać coraz bardziej nerwowo. Śnieg oblepił ich od stóp do głów, błąkali się jak bekszałtne mary, białe zjawy. Przecinali bezwiednie lawinowe pola, nie widząc niebezpieczeństwa,

zgubieni, zamarznięci. Poczęli wołać o pomoc, licząc, że ktoś w obozie III lub IV usłyszy. Krzyki ginęły w mgłę jak w wacie. Siadali na śniegu i zdejmowali buty, by rozmasować sztywne nogi. Noc nadchodziła, nasilał się znowu wiatr. Pozostanie na noc na zboczu oznaczało śmierć.

Wtem jeden z kolegów Herzoga zapadł się po szyję w śnieg. Grzał dalej — zniknął. Gdy poczęli go ciągnąć do góry na linie usłyszeli z otworu radosne wołanie: „Skaczcie — tu szczelina”.

Jeden za drugim skakali w swnki, nawiany śnieg. Pod śnieżnym sklepieniem znaleźli jakby kręty tunel, długi na około 10 metrów. Było tam zimno i wilgotnie, ale przynajmniej szczelina ta dawała schronienie od wiatru.

Wyczerpani, dygoczący przytulili się wszyscy czterej do siebie. Co parę minut któryś zaczynał nacierać ręką albo nogą i poruszał całą grupę. O śnie nie było mowy. Wyczerpani i zamarzający majaczyli,

szeptali dziwne słowa. Herzog czuł, jak zamiera w nim wszelka nadzieja, jak zdaje sobie sprawę, że oto monsun już nadszedł, droga powrotu jest zamknięta. Ta szczelina stanie się zbiorowym grobem. Nikt ich nigdy tu nie odnajdzie.

Ale po godzinach udręki ktoś nagle zawołał „Świt!”. Przez warstwę śniegu, gdzieś w końcu szczeliny, sączyła się biała szarość. „Trzeba jeszcze poczekać, za wcześnie na marsz” — myślał leniwie Herzog. Wtem usłyszeli dziwny dźwięk: jakby olbrzymi, zwielokrotniony syk. Narastał — i nagle Herzog poczuł, że jest oślepiiony, obojętny, zagrzebany i zadławiony zimnym, suchym, ciężkim śniegiem. Zwinęty w kłębek zakrywał tylko głowę ramionami i kurczowo starał się utrzymać nieco przestrzeni dla oddechu. Zapadła cisza. Obudzona gwałtownie świadomość Herzoga stwierdziła lakonicznie:

„Zasypała nas lawina”.

DOKOŃCZENIE NASTĄPI



ma zaszczyt przedstawić

KALORYFERY

wodewil
ze śpiewami i tańcami

OSOBY DZIAŁAJĄCE

WIDZ

AKTOR

WOŹNY

DYREKTOR

KOMISJA

Rzecz dzieje się na widowni i scenie teatru, zimnego z powodu nieoperatywnego działania kaloryferów.

SCENA I.

Na scenie jeden aktor. Na widowni jeden widz. Zimno.

AKTOR (w roli Franciszka w słynnej sztuce Anieli Męskiej pt. „Węgiel i gitara”). Scena z portretami: Oto portret mojej pierwszej żony Melanii. Ty byłaś prawdziwym natchnieniem mego życia, Melanio. Noszę ciebie w moim sercu zawsze. Nie zapomnę o tobie nigdy. Połączyła nas karuzela i ten cichy wieczór nad Wisłą, rozłączyła mineralogia i termodynamika. Poszło o to, kto ma nosić węgiel do piecyka. Ten piecyk, który w lecie w ramach estetyki umajaliśmy kwiatami...

(Tu aktor powinien w roli płakać, ale kaszle, bo zimno. Podchodzi pod drugi portret)

A ty, Hermenegildo, wniosłaś w moje życie nie tylko czeski adapter „Supraphon”, który zresztą się potem popsuł w związku z mściwym wyspaniem gorącej kaszy gryczanej do aparatury w ów fatalny piątek, ale również miłość do kolorowych firanek.

(Na stronie)

Potworna składnia! Że takie rzeczy puszczają.

(Pełnym głosem)

I dziś, ile razy widzę kolorowe firanki, tyle razy... (Tu aktor znowu powinien płakać, ale kaszle jak wyżej i szczyka zębami; staje pod trzecim portretem)

Biedna Michalina! Autorka czterdziestu czterech niewydanych powieści. Wszystkie pieniądze szły na atrament. Ale mimo to kochałem cię.

(Zaciera ręce z zimna i zagrzewa się po dorożkarsku bijąc się po plecach ramionami)

Nawet śniłaś mi się wczoraj...

Nie, dalej grać nie mogę. Mnie jest zimno.

(Kaszle i wychodzi)

WIDZ: (Kaszle i wychodzi).

SCENA II.

DYREKTOR (do Woźnego ze sceny): Panie Turecki,

pan stanie przed teatrem. A jakby ten samochód, to zaraz telefon z kasy do mnie.

WOŹNY: I tak nie zobaczę, bo taki śnieg.

DYREKTOR: Jaki śnieg? Trzeba walczyć z przyrodą.

SCENA III.

KOMISJA KLIMATYZACYJNA: (wchodzi)

DYREKTOR: W imieniu dyirekcji i zespołu witam Komisję. Członkowie Komisji mogą się teraz... ten... empirycznie przekonać, że nasze pisma w sprawie właściwego działania kaloryferów nie były przesadzone. Kaloryfery niby są, ale właściwie ich nie ma. Brak im tego, jakby powiedzieć, wydziału ciepłego. Przed chwilą musieliśmy przerwać przedstawienie.

(Zagrzewa się po dorożkarsku)

Celem tego ponownego zobrazowania sytuacji na odcinku temperatury w naszym teatrze „Miniatury” pozwolę sobie zacytować z pamięci nasze ostatnie (tyka aspirynę) piśmko:

„Teatr Miniatury adres... data...

Do Komisji Klimatyzacyjnej

Departament Instalacji

Konkretnych

w/m

W trosce o —

PIERWSZY CZŁONEK KOMISJI: To my już wiemy.

DYREKTOR: „Walcząc z —”

DRUGI CZŁONEK KOMISJI: Naturalnie.

DYREKTOR: A tu mój podpis, podpisy pozostałych czterdziestu czterech dyrektorów, oraz okrągła pieczęć tuszem lila.

TRZECI CZŁONEK KOMISJI: Czy pan wie, gdzie można dostać tuszu lila?

KOMISJA: (rozsiada się wygodnie w krzesłach).

Kuplety Komisji

Czas pędzi jak ten zając, trzeba by się tym zając, lecz spokojnie, bez tremy. Więc my się nie zajmamy.

Nasze cele nieduże:

spokój w domu i w biurze.

Zycie to są problemy.

Więc my się nie zajmamy.

By coś zrobić, coś stworzyć, trzeba rękę przyłożyć.

lecz my się nie palamy.

Więc my się nie zajmamy.

(taniec)

SCENA IV.

PIERWSZY CZŁONEK KOMISJI: (Do dyrektora): Czy pan czytał „Faraona”?

DYREKTOR: Czy to ma coś wspólnego z kaloryferami?

(Zagrzewa się po dorożkarsku)

PIERWSZY CZŁONEK KOMISJI: Nie, ale, wie pan, człowiek siedzi w tej klimatyzacji: kaloryfery i kaloryfery. Więc jak przyjdzie do takiego człowieka jak pan, który bierze czynny udział w kulturze, to chciałby trochę pogadać. Wczoraj na uroczyny żona podarowała mi „Faraona”. Ale niech pan sobie wyobrazi, mamy kotka. Cały biały. I ogonek biały i mordka biała, tylko na brzuszku taka wielka, proszę pana, czarna kropka. Komiczna. Otóż kotek przewrócił flaszkę z atramentem i zalał cały egzemplarz. Tragiczne. Czy pan lubi koty? Moim zdaniem kot jest fałszywy i egoista.

DYREKTOR: (rozciera sobie uszy).

PIERWSZY CZŁONEK KOMISJI: A ja rzeczywiście tutaj wobec pana czuję się jak Wagner w pracowni Fausta. Można powiedzieć kontakt z czymś takim niesłychanym. Bo po prostu kosmos, aspekt i koncepcja, nie mówiąc o metaforach.

DYREKTOR: A centralne ogrzewanie...

PIERWSZY CZŁONEK KOMISJI: Aha, już badamy. Pan będzie łaskaw, dyrektorze, przedstawić dokumentację retrospektywnie.

DYREKTOR: Panie Turecki, niech pan to zreferuje.

WOŹNY: Kaloryfery zostały założone we wrześniu. Kaloryfery wewnętrzne, czyli wpuszczane w ściany, w ramach estetyki. Ale co z tego? Szpagier w kotle pali, a w teatrze zimno. Gdzieś to ciepło ucieka.

DYREKTOR: Nieoperatywność ciepłego wydziału.

PIERWSZY CZŁONEK KOMISJI: Zaraz to zbadaamy. Tymczasem tylko szkicowo, wstępnie, albowiem jesteśmy strasznie zajęci.

(Przy pomocy Woźnego rozbiera jedną ścianę w miejscu, gdzie powinien być kaloryfer. Kaloryfera nie ma)

Bardzo dziwna sprawa. Gdzie kaloryfer? I dlaczego zimno w teatrze, a ciepło na ulicy? Kolego Klimaszewicz, co to znaczy?

DRUGI CZŁONEK KOMISJI: Musiała nastąpić pomyłka na tle trudności obiektywnych.

SCENA V.

WIDZ: (wchodzi do dyrektora): Czy pan jest dyrektorem tego teatru?

DYREKTOR: (kłania się)

WIDZ: Nazywam się Franciszek Balon. Franciszek — tak jak bohater w tej sztuce obywatelki Anieli Męskiej. Przyjeżdżam z głębokiej prowincji. W większych ośrodkach bywałem rzadko. Czy ten teatr został dawno zbudowany?

DYREKTOR: Przed paru miesiącami.

WIDZ: Bardzo ciekawy teatr. Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem. Ja się, proszę pana, wyrażam i wyszedłem. Myślę sobie, zjem coś ciepłego np. gorący kokil z mózgu i wrócę, jeszcze trochę posucham sztuki. Ostatecznie można siedzieć w palcie. Chodzi o sztukę. I proszę sobie wyobrazić, zbliżam się do teatru i co widzę. Jak Jowisza kocham, pierwszy raz w życiu. Kaloryfery wmontowane w mur, na zewnątrz teatru. Na ulicy gorąco, że cytryny i laury mogłyby kwitnąć, a w teatrze oczywiście zimno.

(siada w krzesło)

DYREKTOR (na stronie): Toteż ja nieraz w wolnych chwilach zastanawiałem się czemu ten dziadek, co ma na rogu budkę z papierosami, tak się ciągle poci.

(głośno)

Fatalna pomyłka w dokumentacji! Naturalnie! To jasne, że cały wydział ciepły zamiast grzać widza i aktora rozpraszał się na ulicy.

KOMISJA (jeszcze głośniej): To nie jest pomyłka! To jest genialny wynalazek. Mamy dosyć egotycznych kaloryferów, przy których grzeją sobie kupcy ludzie, że tak powiem, odcięci od życia, oddaleni od rzeczywistości, a nieraz potajemnie pogrążeni w lekturze Oscara Wilde’a. Dzięki naszym kaloryferom ciepło się upowszechnia, zespala z ulicą, ulica jest ciepła i dzięki powyższemu nie może się już powtórzyć

gwiazdkowy kawał z dziewczynką z zapalnikami. Pa, pa!

WOŹNY: A jak będzie z kaloryferami?

KOMISJA: Pa, pa! Kaloryfery to nie są kaloryfery, tylko zagadnienie. A zagadnienie trzeba omówić, rozpracować i uzgodnić. Pa, pa!

WOŹNY: A jak będzie z kaloryferami?

KOMISJA: Pa, pa! Jesteśmy strasznie zajęci.

Mamy jeszcze dwadzieścia zebrań, osiemnaście konferencji, oraz uroczyste posiedzenie Sekcji Kaloryferowej. Obecność na sesji obowiązkowa. Pa, pa!

WOŹNY: Pa, pa! A jak będzie z kaloryferami?

KOMISJA: Pa, pa! Jesteśmy strasznie zajęci!

(wychodzą)

SCENA VI.

Przez dziurę w rozebranej ścianie widać padający śnieg.

WOŹNY: (wchodzi na scenę).

Kuplety Woźnego

Kiedy chłopieciem byłem, och, czasy te daleko, ze śniegu ulepiłem bałwana śniegowego;

śnać antypryzrodnico lepiłem, drodzy moi: księżyc się zmienił, a bałwan ciągle stol.

Satyra go nie ima, trwały nad wszelki podziw, puść parę w kaloryfer, też to mu nie zaszkodzi.

Lecz żeby was nie znudzić, jesteśmy w wielkiej trudzie. Wodewil już skończony, więc ja ze sceny schodzę.

Niech się poezja krwili, niech piszą poetowie. Skończony już wodewil. Bijcie bravo, widzowie.

(wychodzi)

DYREKTOR: (z proscenium).

Prześwietna publiczności!

Na tym kończymy nasz nonsensowny, absurdalny, abstrakcyjny i irracjonalny program w naszym teatryku. To jest (szlocha) nasz program pożegnany. Drogi Szekspirom!

(oklaski)

Chwileczkę, jeszcze będzie dydaktyka na temat ludzi strasznie zajętych:

(do jednego widza na sali)

Wodewil sens taki obłą!

i moral wyklada ten ci:

ludzie, którzy nic nie robią,

są zwykle strasznie zajęci.

K u r t y n a

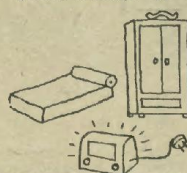
K. I. Gałczyński

Utwór ten nadesłał nam Gałczyński krótko przed zgonem, przeznaczając go do numeru świątecznego „Przekroju”

Skrzynka informator PKO

DZIŚ WYJAŚNIAMY BARDZO WAŻNĄ sprawę pełnomocnictw. Każdy może upoważnić inne osoby do stałego dysponowania swym wkładem oszczędnościowym. Wystarczy udać się do dowolnej placówki PKO, podać personalię osoby, której pragnie się udzielić pełnomocnictwa i złożyć w obecności urzędnika swój podpis. Obecność osoby upoważnionej nie jest konieczna. Osoba ta ma prawo podpisywania zleceń wy-

platy. Proste, prawda? Jednorazowo zaś można upoważnić każdego do podjęcia określonej sumy, wypisując odpowiednio pełnomocnictwo i poświadczając je w



dowolnym urzędzie czy zakładzie państwowym. Przypominamy, że pełnomocnictwa potrzebne są tylko przy wypłacie pieniędzy, wpłatać może na książeczkę każdy.

STANISŁAW PIETRASIEWICZ w Aninie: O zagubieniu książeczki trzeba jak najszybciej powiadomić Oddział Rachunkowy Obrotu Oszczędnościowego PKO w Warszawie.

PISZCIE DO NAS na adres: Skrzynka-Informator PKO, Warszawa, ul. Traugutta 5.

K-2655

Dziś: z udziałem brata Rojek, felieton p. t.

G Ł O S ma MĘŻCZYŻNA



Bluzka i spódniczka to najpraktyczniejszy, najtwardszy, zawsze wdzięczny i młodzieńczy strój. Oto 3 fasony bluzek i 3 spódniczki, modne w tym sezonie. Szyku dodają szerokie paski

W ramce: modna sukienka na wieczorki i zabawy. Wycięcie trójkątne, rękawki kimonowe, stanik przedłużony, spódniczka od bioder ułożona w szerokie fałdy, rozszerza się silnie ku dołowi



Twarzowa sukienka z ciemnego, gładkiego materiału, bez kołnierza, przyszyta zdrapowana, z 3-ówienciovymi rękawami, w pasie dość luźna i ściągnięta paskiem, zapięcie na 3 guziki



— Chciałyśmy zasięgnąć męskiej rady w sprawie sukienek do tańca, które szyjemy sobie na nadchodzący karnawał — powiedziała Lucynka do brata Rojek, podnosząc głowę znad żurnala. — Fasony już znalazłyśmy, chodzi o jakieś oryginalne przybrania...

— Ależ ma pani przecież śliczną sukienkę do tańca — powiedział brat Rojek. — Tę, w której panią poznałem.

— To jest sukienka sprzed 4 lat — wykrzyknęła Lucynka z irytacją. — Mówiłam ci, Paulinko, że nie warto zwracać się do mężczyzny o radę. Mężczyźni na sukienkach zupełnie się nie znają.

— Możliwe — powiedział brat Rojek. — Ale nie brak nam innych obserwacji, jeśli chodzi o strój i powierzchowność naszych dancier.

— Ciekawa jestem — powiedziała Paulinka.

— Zaczynam więc — powiedział brat Rojek. Po pierwsze:

Torebka. Bardzo kłopotliwy przedmiot. Większa część wieczoru upływa nam zwykle na pilnowaniu, zostawianiu pod opieką, szukaniu, znajdowaniu, jednym słowem opiekowaniu się torebką naszej dancierki. Czy nie mogłaby zrezygnować z tej kuli u nogi?

— Ależ trzeba mieć przy sobie chusteczkę, trochę pieniędzy...

— To się zmieści do kieszonki, którą zawsze można zrobić, nawet w balowej sukni. Puder, grzebyk itd. najlepiej umieścić w ściągającym woreczku, który podczas tańca spokojnie wisi na poręczu krzeselka. A wreszcie od czego jestem ja, dancier, z moimi kilkunastoma kieszeniami w ubraniu? Rzeczy wymagające szczególnie pilnej opieki mnie oddacie na przechowanie. A torebka powinna zostać w domu. Następnie:

Ciasne buciki, druga wielka zmo-
ra dancierów.

— Przecież nie ich cisną — powiedziała Lucynka.

— Mimo to psują im zabawę. Bo właścicielka ciasnych butów albo zdecydowanie jest w złym humorze, albo w najlepszym razie tylko syka, z cierpiącym wyrazem twarzy. A czy to miło tańczyć z mężczyzną? Po trzecie:

Fryzura, nos. Tych dwu punktów swej osoby niektóre kobiety przez cały czas zabawy nie spuszczają z myśli. Poprawiają, przyczesują, przypudrowują. Resztę czasu zajmuje doglądanie pończoch (czy oczka nie poleciały), ust (czy nie rozmazane), rąk (czy nie puściły) i manicuru (czy lakier nie odpłynął). Wszystko to nie sprzyja beztroskiej zabawie i poważnie peszy partnerów. W końcu:

Super-kreacje. Nie znamy się na modzie, czy też brak nam cywilnej odwagi, faktem jest, że bez entuzjazmu zapraszamy do tańca niewiastę w superkreacji. To jest w takiej, która budzi ogólną sensację, na przykład pełkiem sztucznych słoneczników. Albo dekoltem. Dlatego, choć cenimy pomysłowość w stroju, miarkujcie, błagam, fasony i wycięcia.

— Udzielił pan nam cennych wskazówek — powiedziała Paulinka. — A ty co myślisz o tym, Lucynko?

— Myślę — powiedziała roztargniona Lucynka, z natężeniem patrząc na wybrany fason w żurnalu — myślę, że słoneczniki, to może jest dobra myśl.

KONIEC

7 LAT temu, w roku 1946, „Przekrój” ogłosił konkurs na rysunki dzieci. Otrzymałszy wówczas od dzieci naszych Czytelników wiele rysunków. Co te rysunki przedstawiały? W przytaczającej większości wojnę, okupację, rozstrzelanie ojców, zabieranie bliskich do Oświęcimia i innych obozów śmierci, łapanki urządzane przez gestapo i SS na ulicach miast i po wsiach, płonące miasta, domy w ruinie, bombardowanie dzieci i dorosłych przez samoloty hitlerowskie itp. Wiele z tych rysunków reprodukowaliśmy w numerach 50, 51 i 52 „Przekroju”.

TERAZ po latach 7 ogłosiliśmy w numerze 438 podobny konkurs na malunki i rysunki dzieci. Ale jakże obecne dzieci inne mają dzieciństwo! Zamiast pożogi wojennej i zbrodni hitlerowskiej, treścią ich życia jest szkoła i nauka, zabawy, wakacje na świeżym powietrzu, praca rodziców, budujące się osiedla, miasta, fabryki, i całe nowe pokojowe życie. Dzieci narysowały i namalowały właśnie to swoje SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO.

Otrzymałszyśmy dziesiątki tysięcy rysunków. Przyznawanie nagród wobec tego nawału materiału stało się zadaniem naprawdę strasznie trudnym. Każdy niemal rysunek ma jakieś zalety: szczerść autora, spostrzegawczość, poczucie koloru, dobrą kompozycję, oryginalność ujęcia itd. itd. Po długich debatach, jury pod przewodnictwem rektora krakowskiej Akademii Sztuk Plastycznych prof. Mieczysława Wejmana postanowiło nagrodzić 73 autorów. Jednakże wobec wysokiego poziomu nadesłanych prac postanowiono bardzo wiele rysunków wyróżnić. Poniżej rozpoczynamy drukować listę nagrodzonych i wyróżnionych autorów.

Wszystkim dzieciom pięknie dziękujemy za nadesłanie swych obrazów i rysunków. Specjalne podziękowanie składa jury i redakcja „Przekroju” wszystkim Szkołom i Nauczycielom, którzy tak starannie rysunki zaopatrzyli w objaśnienia, zapakowali i nadesłali. Ta pomoc szkół i nauczycieli była dla nas szczególnie cenna. Listę szkół, które nadesłały prace dzieci zbiorowo, zamieścimy w następnym numerze.

NAGRODY:

Dwie równorzędne **PIERWSZE NAGRODY — ROWERY** dziecięce marki „BALTYK” — otrzymują:

Włodzimierz BOROWCZYK (lat 8), W-wa, Myśliwiecka 8/17.

Lila KUŹDOWICZ (lat 8), Bydgoszcz, 1 Maja 107.

8 drugich nagród — **NARTY, SANKI lub ŁYŻWY** — otrzymują:

Jacek Benedyktowicz (lat 5), Kraków, Salwatorska 5/6.

Ewa Hiroń (lat 6), Kraków, 18 Stycznia 11/7.

Jolanta Kondratowicz (lat 9), Wadowice, Armii Czerwonej 5.

Uwaga

WYNIKI KONKURSU NA RYSUNKI DZIECI



1



3



2



4

Z nagrodzonych i wyróżnionych rysunków reprodukujemy: NA OKŁADCE — 1. Lila Kuźdowicz (lat 8): „Portret dziewczynki”. 2. Jolanta Kondratowicz (lat 9): „Chłopiec na koniu”. 3. Wiesław Nowak (lat 8): „Pałac Kultury”. 4. Włodzimierz Borowczyk (lat 8): „Scena z filmu „Śmiali ludzie”. 5. Ewa Hiroń (lat 6): „W PGR”. NA TEJ STRONIE — 1. Józef Opolony (lat 9): „Siatkówka”. 2. Ania Nowicka (lat 6): „Portret mamusi”. 3. Ewa Pagaczewska (lat 8): „Głowa dziewczynki”. 4. Roza Ładosz (lat 7): „Zbieranie owoców”. 5. Janusz Kempka (lat 8): „Fragment defilady”



Magdalena Krych (lat 3), Warszawa, Piłicka 6/2.

Roza Ładosz (lat 7), Warszawa, Obrońców 29.

Kasia (lat 8), Małgorzata (lat 6) i Krzysztof (lat 6) Łoskotowie, Ołtarzew p. Ożarów, 1 Maja 10.

Ania Nowicka (lat 5), Sosnowiec, Bema 9.

Ewa Rogalska (lat 8), Wrocław, Krzycka 22.

10 trzecich nagród — **GRY lub ZABAWKI** — otrzymują:

Katarzyna Czerwenko-

wicz (l. 9), Wrocław, Małlice Małe, Hodowlana 19. Edward Hochecker (l. 13), Państw. Zakł. Wych. dla Gluchoniem. Racibórz; Tomek Hołuj (l. 5), Kraków, Żuławskiego 5; Maciek Łubowski (l. 6), Poznań, Szełągowska 39; Marek Nowaczyk (l. 2), Pekin (Chińska Republika Ludowa); Józef Opolony (l. 9), Państw. Zakł. Wych. dla Gluchoniemych, Racibórz, Ewa Pagaczewska (l. 8), Kraków, Grottera boczna 9/5; Tadeusz Rozwado-

wski (l. 11), Kraków, Lubelska 23; Władysław Siemek (l. 4), Kędzierzyn, Budynek stacyjny, Kasia Żercicka (l. 7), Warszawa.

Czwarte nagrody — **KSIĄŻKI lub FARBY** — otrzymują:

Ewa Borowczyk (l. 5), Warszawa, Myśliwiecka 8/17, Lucja Burda (l. 6), Wrocław, Ukryta 18; Rysio Chewiński (l. 7), Łódź, Piotrkowska 315; Janina Chojnacka (l. 9), Szkoła Podst. nr 2 Ozorków, woj. łódzkie; Marcin Cieślowski (l. 6), Wrocław 5,

Chorzowska 59/3; Małgosia Cizek (l. 6), Częstochowa, Roli-Zymierskiego 26; Jola Cyganowska (l. 5), Łódź, Wierzbowa 3/43, Maciej Krzysztof Dąbrowski (l. 7), Warszawa, Al. Niepodległości 46; Rysio Dąbrowski (l. 11), Kaszczorek, pow. Złotorya k/Torunia, Wojtek Dzieduszycki (l. 7), Warszawa 4, Targowa 63/51.

Resztę nazwisk dzieci, które otrzymały czwarte nagrody oraz nazwiska wyróżnionych podamy w następnym numerze „Przekroju”.

CZYŚĆ ZĘBY
WIECZOREM I RANO
FLUORYZOWANĄ
PASTĄ DO ZĘBÓW
W PASTYLKACH
FLORIDONT
FLUOR CHRONI ZĘBY
PRZED PRÓCHNICĄ
I DOKAŻA JAMĘ USTNĄ



UWAGA!
 Bierzcie udział w OBU naszych
 KONKURSACH!

PWN
MARIA CURIE-SKŁODOWSKA
PIOTR CURIE
 (Ilustrowana biografia
 znakomitego uczonego)
 str. 102 z 5,85
PAŃSTWOWE
WYDAWNICTWO NAUKOWE
 K-3386



PAMIĘTAJ, ŻE...

przedwczesna siwizna postarza.
Odsiwiacz „HALINA” przywraca
 szpakowatym włosom ich naturalny
 kolor, nadaje im połysk i puszystość.

K-1746

STEFANIA GRODZIENSKA KUKU PTASZEK

Drzypkowscy uroczą się wesli do
 zakładu fotograficznego, trzyma-
 jąc Dzidzię za rączki.

— Co za miłe dzieciątko! — ucie-
 szył się fotograf — chodź, zrobimy
 pszyk. — A jak ci na imię, anioł-
 ku? — spytał i przykucał przed
 Dzidzią.

Dzidzia uderzyła go pięścią w
 głowę i wrzasnęła:

— Nie chcę doktora!

— Jakie mądre dziecko! — zdzi-
 wił się fotograf — chodź, siadniesz
 na krzeselku, misia do rączki, patrz
 jaki ładny miś.

— Brzydki miś — powiedziało
 dziecko, kopnęło krzesło i celnie
 rzuciło krzesłem w fotografa.

— Ona nie lubi, jak ją zmuszać
 — wyjaśniła Drzypkowska i zwró-
 ciła się do Dżidzi: — mama bar-
 dzo prosi, usiądź na krzeselku. Ta-
 tuś kupi ciasteczko.

Dzidzia stała chwilę niezdycydo-
 wana, a fotograf i Drzypkowscy
 czekali w napięciu. Drzypkowska z
 trudem wtrzywała własne siedzenie
 w maleńkie krzeselko i zachęcała:

— Tak wygodnie na tym krzesel-
 ku, że mama wcale nie chce wstać.

— To siedź, a ja pójde do domu
 — poradziło dziecko i skierowało
 się ku wyjściu.

Drzypkowski złapał Dżidzię i po-
 sadził ją siłą na krzeselku.

— Tu siedź, bo dostaniesz pasem.

— I uśmiechnij się ładnie, anioł-
 ku — dodał fotograf.

— Kuku, kuku, ptaszek! — wo-
 lała rozpaczliwie Drzypkowska,
 strzelając palcami.

Dzidzia spojrzała spode łba na
 całą trójkę, namyślała się przez
 chwilę i wybuchnęła wściekłym
 płaczem.

— Ona lubi, jak się z nią bawić —
 wytłumaczyła Drzypkowska, ujęła

się pod biodra i zaczęła tańczyć, nu-
 cąc kujawiaka.

Dziecko darło się coraz głośnie-
 ję. — A teraz będzie śmiesznie, ha
 ha ha — obiecała Drzypkowska i
 włożyła Drzypkowskiemu na głowę
 włochaty kapturek Dżidzi.

Dzidzia spojrzała z niesmakiem i
 ryknęła na nowo.

— Ona lubi, jak wszyscy się ba-
 wia — poinformowała Drzypkow-
 ska, zarzuciła fotografowi na ra-
 miona kolorową serwetę, ujęła za
 rękę jego, oraz Drzypkowskiego w



kapturku i poprowadziła ich w
 kółko, śpiewając: „Kółko, kółko, baw-
 my się wesoło!”

Dzidzia wrzeszczała.

Drzwi zakładu otworzyły się i
 stanął w nich zdziwiony klient. —
 Popatrz, jaki ładny pan — pochwa-
 liła Drzypkowska i wciągnęła no-
 woprzybyłego do kółka, zawiesi-
 wszy mu na szyi koszyk ze sztucz-
 nymi różami.

Dzidzia wyła jak opętana. Drzyp-
 kowska przechodziła samą siebie.

— Ona jest towarzyska, lubi jak
 jest dużo osób — pokrzykiwała.

Panna młoda w welonie i pan
 młody w ciemnym ubraniu, przy-
 byli w celu zrobienia ślubnego
 zdjęcia, podskakiwali na środku
 pokoju, śpiewając: „Hejże dzieci,
 hejże ha, róbcie wszystko to co ja!”
 a naokoło tak samo podskakiwali:
 fotograf w serwecie, Drzypkowski
 w przymalym kapturku, pan z ko-
 szyczkiem na szyi, emerytka która
 przyszła odebrać zdjęcie do legi-
 tymacji z misiem w ręku i Drzyp-
 kowska z otwartym parasolem
 emerytki.

Dzidzia zanosila się, jakby miała
 pęknąć.

Nagle na Drzypkowską spłynęło
 natchnienie.

— Ona lubi spokój, obcy ludzie
 ją drażnią — krzyknęła z rozjaśnio-
 ną twarzą.

Drzypkowski załamał się. Rzu-
 cił spojrzenie płonące wściekłością
 spod włóczkowego kapturka i syknął:

— Przestań robić z dziecka mał-
 pę, do wszystkich diabłów!

Biorący udział w naprędcie zor-
 ganizowanej przez Drzypkowską
 bachanali zastygli w bezruchu.

— Idiotko z niej zrobisz, potwo-
 ra wychowasz — grzmiał Drzypko-
 wski w bładoróżowym kapturku —
 niech ona przestanie się drzeć, bo
 spiorę na kwaśne jabłko, do jasnej
 cholery!

Dzidzia spojrzała na matkę i u-
 śmiechnęła się ze złośliwą satys-
 fakcją.

Moment ten utrwalił fotograf i
 w ten sposób powstało jedno z tych
 zachwycających zdjęć, przedsta-
 wiających uroczym uśmiechniętego,
 dobrze wychowanego
 bobaska.

STEFANIA GRODZIENSKA

Nowość

Ukazał się zbiór opowiadań poświęconych Ludowemu Wojsku Polskiemu,
 napisanych przez znanych pisarzy polskich — byłych żołnierzy Pierwszej
 Dywizji Kościuszkowskiej pt.

Żołnierski diu

Stron 270

Cena zł 15,50

„...Nie tylko czytajcie tę książkę, ale i sami piszcie do jej autorów. Piszcie
 co się Wam podoba, co nie podoba, czego chcecie od pisarza, jakie sprawy
 godne opowiedzenia zostały w tej książce pominięte...”

J. Putrament

WYDAWNICTWO
 MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

(z przedmowy)

K-3296

NOWOŚCI

ELIZA ORZESZKOWA
 Wieczór literacki opracowany
 przez Aleksandrę Naborowską.
 Pogadanki, fragmenty prozy i in-
 scenizacje, składające się na wie-
 czór świetlicowy poświęcony twór-
 czości Orzeszkowej,
 Str. 112. z 7.—

Zuzanna Ginczanka
WIERSZE WYBRANE
 Wybór wierszy młodej i utalen-
 towanej poetki, zamordowanej
 w czasie okupacji hitlerowskiej.
 Str. 112. z 6.50

Stanisław Sztybel
PROSTO I OSTRO
 Ilustr. Zbigniew Lengren
 Biblioteka Satyry
 Zbiór wierszy satyrycznych
 i fraszek
 Str. 112. z 7.—

Jerzy Kamili Weintraub
WIERSZE WYBRANE
 Wybór z twórczości poety zmar-
 łego w czasie okupacji.
 Str. 236. z 9.—

„C Z Y T E L N I K”
 K-2411



ORBIS

Uwaga Czytelnicy! Na wszystkie py-
 tania skierowane do MEGAFONÓW
 ORBISU, Warszawa, Brzeka 16,
 otrzymacie odpowiedź przez mega-
 fon w „Przekroju”, bądź listownie

Okolicznościowo musiem się dzisiaj udać tam, gdzie zawsze największy ruch był przed świętami. To znaczy gdzie? Rzecz jasna — za Żelazne Brama.

Wolniutko spacerkiem zapychamy sobie od Marszałkowskiej przez Saski Ogród, na samo miejsce.

Dawniej po drodze była jeszcze, po lewej ręce, oranżeria, gdzie największe rośliny z ciepłych krajów się znajdowali jak: palmy, fluksje, rododendrony i temuż podobnie. Dlatego — zima lato w piecach tam było palone. Szwagier mój, niejaki Konik Euzebiusz za woźnego się tam zatrudniał, to był najnieśczęśliwszy człowiek na świecie — zima, lato spocony jak mysz w połogu.

Ale poszło pare bomb, wszystkie szyby w oranżerii wylecieli i palmy — wysiadka.

Koło oranżerii przechodziło się do niedużego ogródka. Tam znowuż funkcjonował Instytut Wód Mineralnych, gdzie można było dostać leczniczą wodę z każdej kąpielowej miejscowości krajowej i zagranicznej. Była tam woda sodowa w różnych smakach. Jedna przypominała tak zwaną analizę, druga ocet siedmiu złodziei, trzecia znowuż podjeżdżała śmierdzącą, czyli z przeproszeniem nieświeżym jajeczkiem, czwarta wydzielala taki zaduch jakby w tym kwiatki pare tygodni stojeli.

Po mojemu była to woda z waniem po leczniczych kąpielach, o sobiście nie próbowałem, ale w spożyciu musiała być również przykra. Ale Warszawa lubi fasonu zadawać, to tyż ruch bywał w Instytucie duży.

Faceci z bokobrodami w cylindrach i krótkich sakach spacer uskuteczniłi po tem ogródku tam i nazad i przez rurki ciągli te leczniczą wachę, poszkodowaną na zapachu.

Później wyszło to jakoś z mody i Instytut bankretował.

Ale targ za Żelazną Bramą egzystował do samego Powstania. Sklep koło sklepu, stragan koło straganu. Ułiki z beczki i katarskie bomarańcze. Gumowe szelki i pączki na oleju, jak kocie łby. Krzyk, raban, zakłócenie spokoju. To samo w Hali Mirowskiej — wszystko tam sprzedawali. Od świeżo palonych pestek do gotowych ubrań, męskich, damskich i dziecinnych.

Dzisiaj można tam dostać tylko w oko od Kolczyńskiego, czy innego Stefaniuka, jeżeli rzecz jasna jest się bokserem, bo hala na klub sportowy została zamieniona. Handel przeniósł się z Żelaznej Bramy na Koszyki, Bazar Różycykiego, ulice Puławskie, Pańskie, i w insze miejsca. A i sama hala niedługo będzie podobnie rozebrana, bo faktycznie na samym środku placu się znajduje i niemożliwe zabrudzenie kołowego ruchu uskutecznia. Cicho i spokojnie jest teraz na placu nawet przed świętami, a dawniej szkoda mówić. Uszy puchli, głowa pękała na dwadzieścia cztery kawałki od dźwiękowej lekramy.

Tu jeden kupiec przerażającym głosem krzyczy:

— Do anielskich włosów, do anielskich!

Drugi znowuż propagandę zimnego ognia na choinkie prowadzi, trzeci złoto, srebro i bombki opyla. A każdy drze się jak powietrze.

Przy choinkach zapach był i spokój jak w lesie. Czasem tylko jakiś kupiec grymasnego klienta lekko obszturgał:

— Co? Ta choinka żółta? Wczoraj dopiero z lasu przywieziona, ale chojak musi mieć swój kolor!

Zielony jest szczypiorek, ale ja warzywem nie handluję, to pan dostanie troszkie dalej w hali. A może to drzewo?

— Nie, gałązki za słabe.

— A może pan szanowny nie choinkie, tylko herkulesa potrzebuje do cyrku? To są za słabe gałązki? Litra stawiam, że sam pan możesz za anioła na tem krzaku się powiesić i tyż wytrzyma!

— Cóż to głupstwa pan mi opowiada? Gbur.

— Franek odstawi gościa od krzaków, bo mnie zdenerwuje i dam takie trafne, że całe święta w łóżku przeleży. Łachudra czasu kupca i przemysłowca nie szanująca!

W ten mniej więcej desen przekomarzali się klienci z handlarzami na tle przedświątecznych nerw.

Ale koniec końców zawsze była zgoda. Kupujący wierzył, że choinka mocna i zielona i targał ją do domu.

Dzisiaj się inaczej tem artykułem handluję, bo kto ma sztorcować klientów — prezes spółdzielni „Las“?

Wiech

LUDWIK JERZY KERN

ON GRA NA SKRZYDLE...

Piosenka śpiewana przez H. Dylążankę w Krakowskim Teatrze Satyryków

I.

Ja się nie daję, ja się trzymam, ja się staram, ja uśmiechniętą jeszcze czasem miewam twarz, ale naprawdę to nie człowiek jestem, a ofiara, i już wszystkiego tego to mam potąd aż. Będę musiała chyba zacząć leczyć nerwy, chociażbym wydać miała nawet złotych sto — Do tego doszło już, że trzęsę się bez przerwy, trzęsę się notorycznie, bo:

Refren: On gra na skrzydle. On gra na skrzydle. W jakiej drużynie? Mniejsza z tym. Raz gra przepięknie, raz gra przebrzydło, lecz zakochana jestem w nim. I to jest właśnie cały ambaras, i to jest właśnie cały kram, że raz to tak gra, a tak znowu gra raz — I stąd ja takie życie mam.

II.

Dla mnie niedziela nie istnieje, ani święto, bo czy pogoda, czy ulewa, czy też mgła, każdą niedzielę co niedzielę mam zajęta i to od ślubu już tak drugi rok coś trwa. Zdenerwowana papiloty sobie kręcę, na obiad w barze mlecznym szybko zjadam ryż i na ten stadion jak wariatka jakaś pędzę — i na trybunie siadam, gdyż...

On gra na skrzydle. On gra na skrzydle itd...

III.

Jakich ja rzeczy od znajomych się nasłucham, jakich złorzeczeń, jakich błań, jakich rad — Jedni to na głos mówią, druzyż zaś do ucha, a ja natychmiast jestem jak ten ścięty kwiat. I muszę robić jeszcze do nich głupie miny, chociaż ze wstydu to aż w dołku gdzieś mnie ssie, wszystko naturalnie z idiotycznej tej przyczyny, wszystko dlatego tylko, że...

On gra na skrzydle. On gra na skrzydle itd...

Na szermierczych mistrzostwach Polski w Krakowie tytuł mistrzowski w szpadzie zdobyła drużyna CWKS-u (na fot. po lewej) w składzie: Pawłowski, Wójcik, [w środku — kier. Folk] Przeździecki i Jaroń. Na fot. po prawej: Przeździecki (CWKS) i Rydz (Ślą). Fot. E. Węglowski



— Panie Augustcie, pan jest jak świąteczna rybka.

— ?
— Może pan stanąć ością w gardle.



WYDAWCA INSTYTUT PRASY „CZYTELNIK”

REDAKTOR NACZELNY MARIAN EILE *

DRUKARNIA NARODOWA PRZEDS. PAŃSTWOWE, KRAKÓW, MANIFESTU LIPCOWEGO 19

ADRES REDAKCJI: KRAKÓW, UL. MANIFESTU LIPCOWEGO 19, TEL. 559-54
PISZĄC DO REDAKCJI PROSIMY DODAC PRZY ADRESIE: KRAKÓW I, SKRYTKA POCZTOWA 533
ADRES ADMINISTRACJI: DELEGATURA RSW „PRASA”
KRAKÓW, UL. WIŚLNA 2, III p. TEL. 558-62 — 588-41
BIURO OGŁOSZEŃ I REKLAM RSW „PRASA” Kraków, Rynek Główny 46/I p. tel. 553-40

Warunki prenumeraty: Cena — miesięcznie zł 4,—, kwartalnie zł 12,—, półrocznie zł 24,—, rocznie zł 48,—. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie Urzędy pocztowe oraz listonosze właściwego rejonu doręczeń do dnia 10-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Informacji w sprawie prenumeraty za granicę udziela Centralna Ekspedycja PPK „Ruch” — Dział Prasy Zagranicznej, Warszawa ul. Srebrna 12, tel. 8.64.01, oraz Sekcja Czasopism Eksportowanych, Al. Jerozolimskie Nr 119, tel. 8.05.05. — Redakcja nie zwraca niezamówionych rękopisów, fotografii i rysunków. — Za dział ogłoszeń Redakcja nie bierze odpowiedzialności.

CZYTELNIK

M-4-13055

